



FUNDACJA
BATOREGO

IM. STEFANA



Polska Tuska

Pod redakcją
Piotra Kosiewskiego



**FUNDACJA
BATOREGO**

IM. STEFANA



Polska Tuska



Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne:

Izabella **Sariusz-Skąpska**

Korekta:

Joanna **Licznier**

Opieka artystyczna nad publikacjami Fundacji im. Stefana Batorego:

Marta **Kusztra**

Projekt graficzny:

Teresa **Oleszczuk**

Skład elektroniczny:

TYRSA Sp. z o.o.

© **Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego**

Warszawa 2008

Druk:

„**Efekt**”

ISBN 978-83-89406-96-5

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Spis treści

Jacek Kochanowicz, Rządy Donalda Tuska, pytania do Donalda Tuska	7
Dariusz Gawin, Antypolityka jako normalność	11
Stawomir Sierakowski, Postpolityka, czyli post w polityce	19
Dyskusja (Marek Beylin, Michał Boni, Marek Borowski, Janusz Czapiński, Wojciech Duda, Jarosław Flis, Witold Gadomski, Dariusz Gawin, Agnieszka Graff, Leszek Koczanowicz, Waldemar Kuczyński, Stanisław Obirek, Krystyna Skarżyńska, Aleksander Smolar, Antoni Sułek, Tadeusz Szawiel, Andrzej Waśkiewicz, Piotr Winczorek, Irena Wóycicka, Jacek Żakowski)	29
Aleksander Smolar, Tusk: droga do rzeczywistości	75
Noty biograficzne	93
Indeks nazwisk	101

Jacek Kochanowicz

Rządy Donalda Tuska, pytania do Donalda Tuska

Rok po zwycięstwie wyborczym z października 2007 roku Platforma Obywatelska, młoda partia powstała zaledwie sześć lat wcześniej, nie tylko cieszy się niemal pełnią władzy (ograniczonej prezydenckim wetem), ale i dużą popularnością. Na czele rządu stoi człowiek postrzegany jako przyjazny światu, młodzieńczy i rozluźniony. Człowiek, który całe dorosłe życie poświęcił polityce, a jednak nigdy wcześniej nie sprawował funkcji wykonawczych, nie miał zatem okazji nabyć administracyjnego doświadczenia. Jest twarzą partii i twarzą gabinetu, ale nie tylko. To w jego rękach koncentruje się władza. Najwyraźniej on sam, osobiście, decyduje, jak ma postępować Platforma i co mają robić podlegli mu ministrowie. Trzyma pod kontrolą swą partię i swój gabinet, czy jednak rządzi krajem? Jeśli dokonania rządu mierzyć legislacją, to władzę tę Donald Tusk i jego partia wykorzystali jak dotąd w stopniu niewielkim. Dlaczego tak jest, i czy to źle, czy dobrze, starali się odpowiedzieć uczestnicy debaty zorganizowanej 21 kwietnia 2008 roku przez Fundację Stefana Batorego. Niniejsza publikacja przedstawia jej zapis, w tym miejscu zaś zwrócę uwagę na główne wątki dyskusji.

Sukces Donalda Tuska, zwracali uwagę dyskutanci, to najpierw sukces wyborczy w 2007 roku, a potem niestabnąca jak dotąd popularność jego rządów. Pierwszy ma swoją prehistorię w wyborach w 2005 roku: głównym składnikiem tej prehistorii jest klęska Sojuszu Lewicy Demokratycznej i wielka liczba głosów oddanych na Prawo i Sprawiedliwość oraz na Platformę

Obywatelską. Przewaga PO nad PiS-em w kolejnych, przedwczesnych wyborach w 2007 roku była wynikiem błędnej polityki tej ostatniej partii, która zraziła do siebie czy wręcz przstraszyła znaczne grupy wyborców. Były to więc w dużej mierze głosy przeciw PiS-owi, a nie za Platformą.

Późniejszą, powyborczą popularność Donalda Tuska i Platformy uczestnicy debaty tłumaczyli na kilka sposobów. Odgrywa tu rolę taryfa ulgowa: tak oceniają Platformę ci, wedle których obecność tej partii stanowi zabezpieczenie przed możliwością powrotu rządów PiS-u. Wstrzymując się od zdecydowanych działań, dodawali dyskutanci, Tusk unika mobilizowania oponentów. Jego styl działania i technika komunikacji polegają na tym, by ludzi nie zrazić, lecz ich do siebie przyciągać. Rolę odgrywa też koniunktura gospodarcza, która podnosi poziom życia i zwiększa zadowolenie, ogranicza frustrację społeczną, a tym samym nie sprzyja politycznej mobilizacji przeciwników rządu.

W jednej sprawie uczestnicy debaty byli niemal zgodni („niemal”, bo wyjątek stanowili bliscy współpracownicy Premiera). Była to konstatacja, że Donald Tusk jest politykiem enigmatycznym, mglistym, niejednoznacznym, o tożsamości modelowanej z plasteliny, że nie jest jasne, jaki ma w różnych sprawach pogląd, i nie wiadomo, do czego właściwie on, jego partia i jego rząd zmierzają. Wskazywano nie tylko na zmienne treści wypowiedzi samego Premiera, przesuwających się od twardego liberalizmu ekonomicznego w kierunku centrum, ale i na strategię komunikacyjną, polegającą na unikaniu zajmowania jasnego, jednoznacznego stanowiska. Zwracano uwagę na brak synchronizacji pomysłów, formułowanych przez członków tego gabinetu, na zmienność projektów, na brak jasności, czy pochodzą one od poszczególnych osób, czy też są owocem zbiorowego namysłu rządu – i na wynikające z tego konfuzje obserwatorów co do celów polityki rządu w różnych sprawach albo wręcz wątpliwości, czy w ogóle taka polityka istnieje.

Dyskutanci różnili się jednak w ocenie owej enigmatyczności. Niektórzy przypisywali ją swoistemu makiawelizmowi. Wedle tej oceny celem Donalda Tuska (a zatem i jego partii) jest wygrana w wyborach prezydenckich 2010 roku i wszystkie działania są temu podporządkowane. Aby to osiągnąć,

Tusk za wszelką cenę stara się unikać posunięć, które mogą odebrać mu popularność. Zarazem dobrze wyczuwa nastroje społeczne, zmęczenie reformami i chęć ucieczki od polityki w prywatność. A zatem jego partia odkłada posunięcia konieczne, ale być może bolesne na później, jeśli w ogóle je planuje. Na razie zaś gros wysiłków wkłada w kreowanie wizerunku, w PR, w perswazję, w tworzenie (przy znaczącej pomocy marketingowych ekspertów – zapewne jedynek ekspertów, z których opinią się liczy) narracji, wedle której znaczenia nie ma ani przeszłość, ani przyszłość, lecz tylko teraźniejszość.

Inni uczestnicy, nastawieni do Premiera bardziej przyjaźnie, argumentowali, że być może żadne wielkie reformy nie są potrzebne. Transformacja została wszak zakończona, życie stało się mniej więcej normalne, wystarczą codzienne administrowanie i drobne, rozłożone w czasie korekty. Jeszcze inni wyjaśniali jednak ów marazm w rządzeniu nie zamysłem, lecz słabością. Słabością intelektualną i brakiem woli politycznej samego rządu Donalda Tuska, czyli brakiem zdolności tego rządu do rozpoznania wyzwań i sformułowania celów, a następnie przełożenia tego na język strategii, planów, ustaw, budżetu i działań administracji. Szerzej – słabością polskiej „klasy politycznej”, skoncentrowanej na własnym powodzeniu, lecz niezdolnej do reprezentowania interesów społecznych i pozbawionej woli oraz dyscypliny koniecznych do realizacji poważnych projektów politycznych; także słabością maszyny państwa, aparatu administracyjnego, który w tworzeniu i realizacji polityki winien lojalnie, kompetentnie i sprawnie uczestniczyć.

Spór uczestników debaty, choć koncentrował się na rządach Platformy Obywatelskiej, dotyczył zatem kwestii szerszej i poważniejszej – tego, czy w ogóle w polityce potrzebne są „wizje” i „projekty”, a także jaką funkcję mogą one pełnić. Część uczestników rozumiała je bardzo ogólnie, jako całościowe (choć niekoniecznie do końca spójnie wyartykułowane) konstrukty, niemal z zakresu filozofii politycznej. Odwoływali się oni do tak rozumianych projektów III i IV Rzeczypospolitej, traktując je jako konkurujące ze sobą, ale dziś już zużyte narracje. Owo zużycie dyskutanci zdawali się rozumieć jako wyczerpanie się języka opisu, sposobu definiowania świata, którego jednak, jak dotąd, nie zastąpiły nowy język i nowa opowieść.

Niektórzy powątpiewali, czy w ogóle w świecie dzisiejszym („postpolitycznym”) takie projekty są potrzebne i czy są możliwe. Inni owe projekty rozumieli w sposób bardziej przyjemny, jako wynikające z analizy przewidywań demograficznych i gospodarczych wieloletnie strategie rozwojowe, od których formułowania państwo nie powinno uciekać, podobnie jak nie może uciekać od reform, ich potrzeba bowiem wcale nie zanikła wraz z końcem transformacji. Rządy nawet najbardziej rozwiniętych krajów ciągle wszak jakichś reform dokonują, bo zmienia się rzeczywistość, w której działają.

Uczestnicy debaty nie odmawiali rządowi Donalda Tuska chęci modernizowania kraju, znów jednak dawali wyraz dezorientacji co do tego, jak owa modernizacja miałaby wedle Platformy wyglądać. Czy ma to być „miękki thatcheryzm”, kładący nacisk przede wszystkim na indywidualną inicjatywę poszczególnych jednostek? Czy może jednak ważny jest kapitał społeczny (wedle badaczy szczególnie deficytowy w Polsce rodzaj kapitału) – zdolność do kooperacji, do działań grupowych na rozmaitych poziomach i w różnej skali? I jaką właściwie rolę w owych procesach modernizacyjnych ma według Tuska odegrać państwo? Co robić, aby budować kapitał intelektualny, gospodarkę wiedzy, coraz ważniejsze wraz z perspektywą utraty konkurencyjności opartej na niskich płacach? Jak poradzić sobie z ucieczką ludzi z rynku pracy? Ze starzeniem się społeczeństwa? Jak dzielić wydatki państwa na cele rozwojowe i na zabezpieczenie społeczne?

Znaków zapytania w prezentowanej niżej debacie jest więcej aniżeli odpowiedzi. Pytania były kierowane do rządzącej dziś Polską Platformy Obywatelskiej i jej przywódcy. Wielu uczestników oczekuje od Donalda Tuska wyraźniejszego określenia kierunku, w jakim jego zdaniem powinien podążać kraj. W niektórych wypowiedziach pojawiały się sugestie, co zdaniem ich autorów stanowi wyzwania, przed którymi Polska stoi, i w jaki sposób na te wyzwania winno się odpowiadać. Jednak także w tej kwestii pytań i wątpliwości było więcej niż pewności. Zapis debaty jest więc odzwierciedleniem nie tylko poglądów jej uczestników na temat rządów Donalda Tuska, ale i „stanu ducha” części polskich środowisk opiniotwórczych.

Dariusz Gawin

Antypolityka jako normalność

Wynik wyborów parlamentarnych w 2007 roku wygląda na dzieło przypadku. Poprzednie wybory Prawo i Sprawiedliwość wygrało również przypadkiem. To wydarzenie uruchomiło dynamikę polityczną, która doprowadziła do obecnej sytuacji. Pamiętajmy też, że tylko jedna rzecz w ostatnich latach wydawała się konieczna: wspólne zwycięstwo PiS-u i PO w wyborach 2005 roku. Obie partie wygrały przytłaczająco. Nie powstał jednak wspólny rząd.

Lata 2005–2007

Można proponować rozmaite wyjaśnienia przyczyn, dla których nie doszło do powstania koalicji POPiS-u. Jednak wszelkie odwołania do politologii, socjologii czy filozofii politycznej, sytuujące takie rozważania na jakimś twardym gruncie, wydają się zawodne. Przyczyn należy szukać gdzieś indziej: w konfliktach psychologicznych między kilkoma osobami. To bardzo komplikuje ocenę tych wydarzeń. Dopóki będą żyli ich uczestnicy, będziemy skazani na bardzo różne, sprzeczne wersje tej samej historii. Do pewnego stopnia tę sytuację można porównać do słynnej rozmowy prezydenta Stanisława Wojciechowskiego z marszałkiem Józefem Piłsudskim na moście Poniatowskiego przed rozpoczęciem walk w Warszawie w maju 1926 roku. Nikt jej nie słyszał, ale bardzo różnie opowiadano jej przebieg i rozmaite słowa wkładano w usta rozmówców.

Jesienią 2005 roku mówiono, że Platforma Obywatelska nie miała planu „b”, a Prawo i Sprawiedliwość nie miało planu „a”. PO nie zakładało, iż poniesie tak wielką klęskę, a PiS nie sądził, że tak zdecydowanie wygra. Obie strony uważały, że w najlepszym wypadku padnie remis. Klucz do rozwiązania powstałej sytuacji miał w rękach Donald Tusk. To on podjął decyzję, że rząd nie powstanie, biorąc na siebie odpowiedzialność za dynamikę wydarzeń, które uruchomił: dwóch lat wyniszczającej walki.

Trzeba brać pod uwagę to, że z punktu widzenia Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej była to słuszna decyzja. Doprowadziła do zdobycia władzy w ostatnich wyborach parlamentarnych, a także – być może – umożliwiła zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Całkiem inne jest pytanie: czy była to decyzja dobra dla Polski? W ten sposób znaleźliśmy się bowiem w sytuacji mało komfortowej: osobiste decyzje doprowadziły do uruchomienia wielkich procesów politycznych i społecznych. Jeżeli zatem dziś pytamy o „Polskę Tuska”, to musimy analizować to, co działo się w Polsce lat 2003–2005.

Należy wspomnieć o jeszcze jednym: konieczność zwycięstwa Platformy Obywatelskiej i PiS-u w 2005 roku wynikała z kryzysu, w jakim była pogrążona III RP. Był on bardzo realny, o czym przekonuje dziś na przykład sprawa Krzysztofa Olewnika. Historycznie Platforma wywodzi się właśnie z tamtego czasu – krytyki systemu zbudowanego po 1989 roku. Tam są jej korzenie, ale dziś mamy już do czynienia z inną partią. Zabrakło w niej miejsca dla Jana Rokity czy Pawła Śpiewaka. Jacek Saryusz-Wolski został odsunięty na boczny tor, a przecież miał być ministrem spraw zagranicznych. Jarosław Gowin robi karierę w strukturach partyjnych, ale nie zgodził się wejść do rządu.

Na koniec jeszcze jedna uwaga: nie sądzę – jak uważają niektórzy – że PO postępuje się językiem zapożyczonym od PiS-u. Znaczna część intelektualistów związanych z tą partią była przecież współtwórcami rewolucji semantycznej, która – jak to napisał Rafał Matyja – miała miejsce w tym czasie i doprowadziła do zwycięstwa PO i PiS-u w 2005 roku.

Tuska opowieść o Polsce

Pytanie o „Polskę Tuska” dalece wykracza poza pytanie o politykę obecnej koalicji rządzącej. Jest pytaniem o Polskę, ale również o Platformę i wizję przedstawianą przez Donalda Tuska. To także pytanie o proponowaną nam narrację czy dyskurs, a raczej powinienem powiedzieć: „opowieść”, ponieważ specjaliści od *public relations* doradzili obecnemu rządowi, aby nie używał słów niezrozumiałych przez większość elektoratu. Zatem, aby móc odpowiedzieć na pytanie o „Polskę Tuska”, trzeba analizować przedstawianą opowieść, rzeczywistość i wreszcie program.

Polska Tuska z opowieści snutej przez rządzących rysuje się mgliście i niejasno. Nie jest to jednak wadą rządu, lecz wynikiem świadomego wyboru takiego właśnie sposobu opowiadania. Michał Boni w wywiadzie dla „Polityki” użył ciekawego określenia: obecna władza to rząd „małych kroków”¹. Można powiedzieć, że sam określił się jako przeciwnik myślenia w kategoriach wielkich wizji.

Charakterystyczna jest również figura Premiera. Donald Tusk nie rządzi, lecz pełni funkcję arbitra. Urząd premiera nie jest ośrodkiem woli politycznej, lecz miejscem rozsądzania sporów. Taką właśnie rolę (odgrywaną zazwyczaj przez prezydenta, a nie przez premiera) przypisali Tuskowi specjaliści od opowiadania Polakom o tym rządzie. Dlatego też brak polityczności i woli rządzenia – zarzuty często stawiane przez krytyków obecnego rządu – są wynikiem prymatu taktyki nad strategią, a nie przejawem słabości. Kalendarz wydarzeń medialnych, które rzutują na notowania i pozycję wyborczą obecnego Premiera, został tak ułożony, aby doprowadzić do zwycięskich wyborów prezydenckich w 2010 roku.

Pozwolę sobie na drobne domniemanie. Osoby popierające obecny rząd i budujące jego zaplecze intelektualne zapewne nawzajem się przekonują, że mają twardą wizję Polski, ale zaczną ją opowiadać dopiero po wygraniu kolejnych wyborów i zdobyciu pełni władzy. Jeżeli jednak mówi się o tym,

¹ Więcej *Finlandii w Irlandii* [z Michałem Bonim rozmawia Jacek Żakowski], „Polityka” 23.02.2008.

co się będzie mówiło za dwa lata, to cała działalność może ograniczyć się do opowiadania, nie zaś do uprawiania polityki.

Znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy premier nie jest premierem, tylko arbitrem. Co więcej, dochodzi do stanu, który nazwałbym „fragmentacją rządu”. Rozpada się on na szereg feudalnych, lennych systemów, które nie komunikują się ze sobą albo pozostają w konflikcie. Nie mają również kontaktu z samym Premierem. Jednym z najbardziej zaskakujących wyjaśnień Stanisława Gomułki, dlaczego podał się do dymisji z funkcji wiceministra finansów, był właśnie brak możliwości kontaktu z Donaldem Tuskiem, a przecież Gomułka odgrywał w tym rządzie dość ważną rolę. Ten przykład także mówi wiele o obecnym sposobie uprawiania polityki przez lidera PO.

Kolejna sprawa to konflikty, do jakich dochodzi na linii: otoczenie premiera a wszyscy, którzy mogą zbudować swoją niezależną pozycję w partii oraz w instytucjach władzy. Informacje o nich nie przebijają się na pierwsze strony ogólnopolskich gazet, ale można je znaleźć w wydaniach regionalnych i lokalnych. Chociażby „Dziennik” z dnia 18 kwietnia 2008 roku podał na stronach stołecznych swego wydania, że Mirosław Drzewiecki skreślił z listy gwarantowanej przez rząd wszystkie dodatkowe projekty wspierające Euro 2012 w Warszawie. Jako przyczynę podano konflikt stołecznego ratusza z... rządem! Przypomnę jeszcze o kłopotach Wrocławia z unowocześnieniem tamtejszego lotniska. Okazuje się, że problemem jest zbyt silna pozycja prezydenta miasta – Rafała Dutkiewicza.

Podkreślam – brak polityczności oraz woli to określony projekt polityczny, w którym taktyka ma prymat nad strategią. Przez co najmniej dwa lata, do następnych wyborów (być może wybory prezydenckie zostaną połączone z przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi), nic się nie zmienia. Dopiero zdobycie pełni władzy sprawi, że obecnie rządzący zaczną ujawniać swój strategiczny pomysł na Polskę.

Media i społeczeństwo

Drugim elementem niezbędnym do opisania Polski Tuska są media wspierające rząd. Więcej, żyją one z nim w specjalnej symbiozie (przede wszystkim media elektroniczne). Powiedziałbym nawet, że tym, czym była Agora dla III Rzeczypospolitej, tym ITI i TVN są dla obecnej Polski.

Jak mówił Marshall McLuhan, medium jest przekazem. Pojawienie się 24-godzinnych telewizji informacyjnych i portali informacyjnych zmieniło polską politykę. Istnieje ona w otoczeniu odmiennym niż kilkanaście lat temu. Wówczas *establishment* czerpał wiadomości o świecie przede wszystkim z gazet, w szczególności z „Gazety Wyborczej”. Dziś ich miejsce zajęły kanały informacyjne. Co robią przychodzący do pracy? Włączają Onet, Wirtualną Polskę albo Interię. To jeden z pierwszych ich odruchów. Mogą spędzić dowolną ilość czasu, komentując informacje, dopisując się do blogów politycznych itd.

Wspomnę o jeszcze jednym charakterystycznym wydarzeniu. Kiedy mijają sto dni rządu, Donald Tusk został zaproszony przez Tomasza Lisa do publicznej telewizji. Andrzej Morozowski i Tomasz Sekielski natychmiast odwołali spotkanie z Premierem we własnym programie „Teraz my!”, ponieważ uważali, że TVN z racji swojej roli w polskiej polityce powinien mieć Donalda Tuska na wyłączność. Co ciekawe, natychmiast po ogłoszeniu tej decyzji Premier odwołał własne pojawienie się w publicznej telewizji. To wydarzenie wiele mówi o relacjach między mediami a obozem rządzącym.

Trzecim elementem Polski Tuska jest społeczeństwo. Dzisiejsze media nie informują o rzeczywistości, tylko dokładają do opowieści rządzących własne opowieści. Jak mawiają Francuzi: „kraj realny jest pewną tajemnicą”. Pozostaje wolne pole dla socjologów, by opisać rzeczywisty świat. Podejrzewam bowiem, że tego nie dowiadujemy się z TVN. Poznajemy jedynie bardzo atrakcyjną opowieść.

Czasy „normalności”

Wszystkie te elementy składają się na triumf antypolityki, czyli normalności, bo te dwa słowa uczyniono synonimami (nie przypadkiem ten rząd wciąż mówi o powrocie do normalności). Używając języka filozofii społecznej, powiedziałbym, że mamy do czynienia z powrotem do tego, co społeczne, oraz ze składaniem obietnicy, iż polityczność może odejść na bok. Innymi słowy, to próba polskiego powtórzenia starej Fukuyamowskiej opowieści o końcu historii. Zanurzamy się w wiecznej terażniejszości, która wszystko wysysa, ponieważ historia dobiegła swojego kresu.

W tej sytuacji „Dziennik” głosi, że nie jest nam potrzebna aktywna polityka. Można przecież schować się w Europie i przetrzymać obecne czasy. Powiedziałbym jednak, że jeżeli Prawo i Sprawiedliwość prowadziło nieskuteczną, brutalną politykę, to obecne czasy charakteryzuje naiwna przebiegłość. Polityka PO jest bardzo dobrze skonstruowana, ale oparta na błędnym założeniu. Historia nigdy się nie skończy. Unia też nie będzie rozwiązaniem wszystkich problemów. Nigdy chociażby nie otrzymamy tak dobrego unijnego budżetu jak obecny. Każde poszerzenie będzie przecież prowadziło do jego obniżenia. Wreszcie, w całej Europie mamy do czynienia z procesem renacjonalizacji polityk. Polska będzie musiała na to zjawisko odpowiedzieć.

Podkreśliłbym jeszcze jeden ważny element: nasz *establishment*. Specjalnie używam tego słowa, nie zaś „elita” ani „inteligencja”. Jak mówił Robert B. Reich, analitycy symboliczni, czyli intelektualiści, socjologowie, eksperci, są także członkami *establishmentu*. Edward Abramowski napisał broszurę *Zmowa powszechna przeciwko rządowi*². Powiedziałbym, że obecnie powstała zmowa powszechna za rządem. Jedną z jej cech charakterystycznych jest obdarzenie rządu wielkim kredytem hipokryzji. Rząd Donalda Tuska musiałby wiele złego zrobić, aby go wyczerpać. Doszło także do zdecydowanej odmowy krytycyzmu. Wszyscy hiperkrytyczni w ostatnich dwóch latach postanowili odmówić używania swego krytycznego instrumentarium

² Edward Abramowski, *Zmowa powszechna przeciwko rządowi*, Warszawa 1905.

intelektualnego do analizy obecnej rzeczywistości. Okazuje się, że walka z PiS-em była niczym konfederacja w czasach I Rzeczypospolitej. Po rozgromieniu rokoszan powrócono do domu, zbiera się pszenicę i jęczmień oraz zastanawia się, ile rzeczy uda się w Gdańsku kupić po sprzedaży pło-
nów.

Najważniejsze i decydujące są dwa najbliższe lata. Ośrodek władzy gra na domknięcie systemu. Uda się to, jeżeli Donald Tusk wygra wybory. Charakterystyczne są przedstawiane projekty dotyczące telewizji publicznej. Pamiętajmy, że poza wszystkimi innymi kwestiami chodzi o setki milionów złotych z rynku reklam telewizyjnych, z którego zniknie jako lider telewizja publiczna. Ta kwota pozwoli na ustabilizowanie obecnego sposobu opowiadania o rzeczywistości.

Jeżeli powiedzie się ten proces, to Platforma Obywatelska wraz z obozem rządzącym stanie się odpowiednikiem meksykańskiej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, która przez 71 lat utrzymywała się u władzy. Stabilizowała-
by i konsolidowała system, a *ersatzem* polityczności byłaby walka z Prawem i Sprawiedliwością, prowadzona w taki sposób, jakby ta partia nadal była u władzy. Chociażby TVN pokazał wstrząsający materiał o tym, że ministrowie rządu PiS-u wykorzystywali służbowe karty kredytowe i jeden z nich kupił za osiem złotych dorsza w sklepie!

Jeżeli powiedzie się domknięcie systemu, to Platforma zdobędzie szczyt, o którym marzyli polscy politycy w wolnej Polsce: będzie rządziła przez dwie kadencje.

Sławomir Sierakowski

Postpolityka, czyli post w polityce

Jak zauważył Hegel, Napoleon musiał przegrać dwa razy, by zrozumieć, że minął jego czas. Klęska z 1813 roku mogła zostać potraktowana jak przypadek, ale porażka pod Waterloo dowodziła, że odejście Napoleona wyraża jakąś logikę historyczną. W zdominowanej przez weteranów polskiej polityce Waterloo mieli już niemal wszyscy. Nie dla wszystkich jednak sowa Minerwy wyleciała o zmierzchu. Do wielu wciąż nie dotarło, że czas polityki, którą dotąd uprawiali i która przynosiła im sukcesy, już minął.

Najlepiej zderzenie z polityczną dekonstrukcją widać było podczas ostatnich wyborów na przykładzie Lewicy i Demokratów oraz Aleksandra Kwaśniewskiego. Polityk, słusznie dotąd utożsamiany z odbierającą przeciwnikom wolę walki skutecznością, okazał się zupełnie bezradny. To wcale nie wpadki z alkoholem uniemożliwiły Kwaśniewskiemu sukces. Odwrotnie – raczej frustrujące poczucie zupełnej nieskuteczności i fatum spodziewanej porażki wpłynęły tak „rozluźniająco” na byłego prezydenta. Widać było, jak język i styl polityczny, który tyle razy zapewniał Kwaśniewskiemu pewne zwycięstwo, tym razem zupełnie nie trafiał do ludzi. Dobrze wiązać krawat i właściwie dobierać koszule zdążyli nauczyć się już wszyscy, a język konsensusu, kompromisu i przyjaźni z Zachodem mógł być interesujący w czasach, gdy „konsensus” pisało się jeszcze w Polsce przez „c”, czyli w latach 90., kiedy wszyscy uczyli się nowego demokratycznego słownika.

Kilkanaście lat później pokazy umiarkowania i gładko przyswojonej europejskości zdecydowanie już nie wystarczyły.

O Donaldzie Tusku z kolei można powiedzieć, że okazał się mistrzem unikania drugiej porażki z tą samą armią. Nigdy nie czekał na Waterloo, tylko szukał nowego miejsca na politycznej szachownicy. Tak było po pierwszej porażce Kongresu Liberalno-Demokratycznego, po klęsce koalicji Akcji Wyborczej Solidarność z jego Unią Wolności, a także po przegranych z Prawem i Sprawiedliwością podwójnych wyborach w 2005 roku. Zupełnie inaczej zachowywał się Jarosław Kaczyński. Gdy Tusk modelował swoją tożsamość, aż przyjęła konsystencję plasteliny, Kaczyński przez lata hartował ją do twardości stali. Trwał uparcie w tym samym miejscu i z tymi samymi ludźmi, czekając na nadejście pomyślniej koniunktury. O „układzie” – który chyba możemy już pisać w cudzysłowie – mówił konsekwentnie od 1989 roku. Dobierał sobie nowych sojuszników, modyfikował taktykę, ale nie zmieniał strategii. Nie zmieniał, aż sama pękła. Stal, jak wiadomo, jest twarda, ale krucha. I Kaczyński znalazł się w miejscu, w którym wcześniej sam upatrywał zagrożenia dla Polski. Kiedyś przestrzegał, że jeśli „układ” nie zostanie pokonany, to zblatowane elity wywołają szkodliwą populistyczną rewolucję, a na koniec sam wylądował na jej czele.

Z przeglądu kolejnych wojen na górze, walk z układem albo batalii o obronę demokracji i praw człowieka wyłania się klasa polityczna przypominająca coraz bardziej ZBOWiD. Bojownicy o Wolność i Demokrację w nowej Polsce są zmęczeni, wielu nie czuje już kręgosłupa od ciągłych skrętów. Niektórzy go połamali, a jeszcze inni nigdy nie mieli. Wraz ze zużyciem się polityków skończył się czas całociowych projektów modernizacyjnych. Pozbawione treści obietnice cudu wygłaszane przez Donalda Tuska są symptomem tego zmierzchu. Dotąd polską politykę napędzały dwie wielkie narracje, które łączyły polityków z szerszymi formacjami. W ich skład wchodził: media, poszczególni dziennikarze i publicyści, ale także intelektualści i całe instytucje. Były to narracje nazywające główne polskie problemy i wskazujące sposoby ich rozwiązania. W pierwszej – wielkiej narracji III RP – głównej szansy na modernizację upatrywano w budowie

wolnego rynku i możliwie szybkim demontażu państwa etatystycznego. Ponieważ modernizatorom przyświecała racja historyczna (komunizm upadł), uważali, że mogą darować sobie dyskusje z wątpięcymi, a złe trzeba po prostu wymieniać na dobre. Opór społeczny wyjaśniano wirusem *homo sovieticus*. Społeczeństwo było przecież także elementem systemu etatystycznego. Wszelkie debaty na tematy inne niż tempo prywatyzacji, obniżania podatków, likwidacji zabezpieczeń socjalnych (zwanych przywilejami) i integracji z zachodnią cywilizacją uważano za zbędne (czyli ideologiczne). W szczególności dotyczyło to debat na temat przeszłości. Te uważano za wyjątkowo szkodliwe, bo nie dość, że były stratą czasu, to w dodatku godziły w „historyczny kompromis”, który pozwolił zaangażować byłych wrogów w proces modernizacji. A ci, im bardziej czuli się winni za przeszłość, tym gorliwiej starali się popierać przyjęty kierunek zmian. Rezygnowali przy tym z jakiegokolwiek własnej podmiotowości, zadowolając się na swój sposób rolą ojców modernizacyjnego sukcesu Polski, widocznego w nowo powstających bankach, spółkach i instytucjach publicznych.

O ile „wielka narracja” III RP polegała na ucieczce od polityki w pragmatyzm, o tyle „wielka narracja” IV RP zamieniała politykę w moralność. Jeśli pierwsza grzeszyła naiwnością, to druga była zbyt podejrzliwa. Podczas gdy „wielka narracja” III RP dostrzegała postkomunistyczną chorobę w społeczeństwie, które nie chciało oddawać należnej czci bohaterom polskich przemian (bo wciąż nie mogło wydobyć się z przywiązania do tak przyziemnych wartości jak praca czy środki do życia), „wielka narracja” IV RP za zarażone postkomunizmem uważała elity. Bardzo przydatna okazała się afera Rywina, na tyle nieprzejrzysta, że nigdy nie przyłapano rzeczywistych sprawców, co akurat okazało się okolicznością sprzyjającą, bo umożliwiło zaliczenie do grupy trzymającej władzę niemal wszystkich, którzy pojawili się na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej” w okresie od początku jej wydawania do opublikowania tekstu *Przychodzi Rywin do Michnika*, a nawet później. Cały spór III RP z IV RP zaprowadził idee polityczne w Polsce na cmentarzysko, po którym hasa dziś Donald Tusk, co jakiś czas podnosząc jakiegoś trupa i pokazując zmęczonemu społeczeństwu, że nie powstanie

już ani martwa III RP, ani IV RP. Nie będzie już ani krwawego szeryfa na stanowisku ministra sprawiedliwości, ani powrotu do „wojen ideologicznych” z czasów III RP, gdy jeszcze na początku zdarzały się dyskusje o neutralności światopoglądowej państwa.

Mylą się ci, którzy upatrują głównego podziału w polskiej polityce w rywalizacji języka postkomunistycznego z antykomunistycznym. Owszem, taka oś odgrywała główną rolę, ale jedynie w zdelegitymizowanej w 2005 roku III RP. Sążniste eseje jednych na temat konieczności rozliczenia komuny i płomienne teksty drugich ostrzegające przed szkodliwym wirusem antykomunizmu doskonale służyły angażowaniu społecznych emocji w trakcie budowy niesprawiedliwego porządku w Polsce. Na zmianę więc Polacy łączyli swoje nadzieje z głosem antykomunistów i postkomunistów, aż poczuli się tyle razy oszukani przez jednych i drugich, że wybrali populistów razem z Jarosławem Kaczyńskim, który pierwszy ten podział odrzucił, ogłaszając nowy antagonizm między „Polską solidarną” a „Polską liberalną”. Lech Kaczyński z kolei mógł zwyciężyć dopiero wtedy, gdy porzucił prosty pancierz postkomunistyczny (symboliczne były poparcie udzielone mu przez Adama Gierka i kilka ciepłych słów wygłoszonych pod adresem realiów poprzedniej epoki) i zdefiniował konflikt w sposób klasowy.

Takie projekty jak III i IV RP nigdy nie były własnością jednej partii. Partie się zmieniały, a projekt trwał. W tym sensie to te „wielkie narracje” były w większym stopniu podmiotami polskiej polityki niż jakiegokolwiek ugrupowania polityczne. Dziś niemal powszechna jest świadomość klęski idei zarówno III, jak i IV RP. Oczywiście, nie brakuje tych, którzy wskazują na takie lub inne sukcesy pierwszej albo drugiej (w tym zestawieniu nieporównanie lepiej wypada pionierska III RP), ale nawet oni mają świadomość utraty charyzmy towarzyszącej wcześniej obu wielkim projektom. Bo nawet jeśli dzięki III RP jesteśmy w Unii Europejskiej i NATO, a także zbudowaliśmy szereg koniecznych dla funkcjonowania nowoczesnego państwa instytucji, to sam projekt został w pewnym momencie przez społeczeństwo odrzucony, a władzę oddano tym, którzy głosili ideę IV RP. Paternalistyczną wizję przeprowadzenia społeczeństwa od socjalizmu

do kapitalizmu, od autorytaryzmu do demokracji, ze Wschodu na Zachód przez predestynowane do tego elity – zastąpiła antypaternalistyczna wizja społeczeństwa, które po tym, jak je odgórnie modernizowano, postanowiło teraz zmodernizować elity, wyciąć układy, osłabić korporacje prawnicze, pogonić w skarpetkach oligarchów. Skrzywdzeni w III RP mieli chociaż symbolicznie zrekompensować sobie lata upokorzeń, oglądając publiczne egzekucje byłych przywódców. W efekcie cały spór III z IV RP okazał się wojną wewnątrz elit politycznych, dziennikarskich i intelektualnych, którą przegrały obie strony.

Co sprawiło, że nie powiodły się oba projekty? A raczej: co sprawiło, że zostały zbudowane w tak nienormalny sposób? Jednym z powodów jest bez wątpienia pewien rodzaj intelektualnego zniewolenia, który pojawił się w wolnej Polsce i który sprawił, że zamiast – dajmy na to – rywalizacji projektu liberalnego (albo konserwatywno-liberalnego) z socjaldemokratycznym mieliśmy naiwnych neofitów wolnego rynku, skazanych na klęskę zadaną im przez paranoicznych populistów.

Aby zrozumieć, na czym polega owo zniewolenie intelektualne, którym objęte zostało życie polityczne w wolnej Polsce, nawiążmy do toczącej się między epokami dyskusji Fryderyka Nietzschego, Fiodora Dostojewskiego i Jacques'a Lacana na temat Boga. Na ogłoszoną przez Nietzschego śmierć Boga reakcją Dostojewskiego była znana groźba: „Jeśli Boga nie ma, wszystko wolno”, którą z kolei polemicznie sparafrazował słynący z przekornie brzmiących formuł francuski psychoanalityk Jacques Lacan: „Jeśli Boga nie ma, wszystko jest zabronione”. Rację oczywiście miał ten ostatni. Im bardziej ktoś myśli, że Bóg umarł i wszystko wolno, tym mniej czuje się poddany zewnętrznym zakazom, które wraz ze śmiercią Boga nie umarły, ale przeniosły się w głąb psychiki jednostki. Slavoj Žižek, najważniejszy komentator Lacana, wyjaśnia ten paradoks na przykładzie sytuacji, którą wszyscy pamiętamy z dzieciństwa. Wyobraźmy sobie nieszczęśliwe dziecko, które w niedzielne popołudnie, zamiast bawić się z kolegami, musi iść z wizytą do babci. Staroświecki, autorytarny ojciec natychmiast łamie opór dziecka: „Nie obchodzi mnie twoje zdanie. To twój obowiązek, idź do babci

i zachowuj się porządnie!”. Dziecko wcale jeszcze nie jest w takiej złej sytuacji. Zostaje wprawdzie zmuszone, aby iść do babci, ale zachowuje wewnętrzną wolność i zawsze może później zbuntować się przeciw ojcowskiej władzy. Žižek zauważa, że paradoksalnie dużo trudniejsza jest sytuacja dziecka pod opieką nowoczesnego, nieautorytarnego ojca, który mówi: „Sam wiesz, jak babcia cię kocha, nie chcę cię do niczego przymuszać, rób, jak uważasz”. Dziecko powinno nie tylko wypełnić rodzinny obowiązek wobec babci, ale jeszcze uczynić to z własnej woli. Fałszywy wybór, jaki rzekomo ojciec pozostawia dziecku, pozbawia go nawet wewnętrznej wolności. Różga już nie grozi, ale nie ma też mowy o wolności.

Tym dzieckiem po 1989 roku byliśmy my. Zamiast przynieść upragnioną wolność, upadek opresyjnej władzy zrodził nowe zakazy. Opisanie tego paradoksu nie służy, oczywiście, nostalgicznej refleksji za starymi czasami komunizmu, ukazuje tylko w nieco bardziej skomplikowany sposób nasze współczesne kłopoty z wolnością. Służyć powinno zakłóceniu spokoju tych, którzy dalej skłonni są wierzyć, że po upadku komunizmu zaistniał w Polsce po prostu wolny rynek idei.

Myśl polityczna w Polsce za czasów cenzury, drugiego i trzeciego obiegu kwitła, choć okno na świat było zabite kratami. Demokratyczny socjalizm, liberalizm, konserwatyzm, nacjonalizm, myśl chrześcijańska – do wyboru, do koloru w szarym PRL-u. Dogmatyzm, paradoksalnie, pojawił się dopiero wtedy, gdy kraty zniknęły i nadeszła upragniona wolność słowa. Lata 90. to okres, w którym polska debata publiczna szybko dostaje szczękościsku od zachwytów nad dość prymitywnymi ideami neoliberalnymi. Ci, którzy przez lata byli szykanowani marksistowskim doktrynerstwem, nie dostrzegają niebezpiecznego heglowskiego jądra w nowej neoliberalnej filozofii. Czyż marksizmu sprowadzonego do roli oficjalnej doktryny PRL-u nie łączą z neoliberalizmem właśnie wiara w dziejową konieczność przemian, usprawiedliwiająca ich społeczne koszty, oraz bezalternatywna teleologia? Stało się dokładnie tak, jak w przykładzie Žižka. Gdy tłamszono nasz bunt przeciw autorytarnemu ojcu, mogliśmy przynajmniej zachować swobodę myśli, gdy zaczęto do nas mówić: „Nie ma nic poza wolnym rynkiem, ale oczywiście

każdy ma prawo wyboru” – faktycznie nie pozostawiano nam wyboru. „Gdy Bóg umarł, wszystko stało się zabronione”.

Aby zdjąć nieco odpowiedzialności z polskich elit, należy osadzić opisywany kryzys w całości doświadczenia współczesnego człowieka. Ucieczka od polityki marzy mu się nie od dziś. Dobre złego początki miały miejsce w myśli politycznej opozycji antykomunistycznej Europy Wschodniej. Gdy w Polsce rzucono hasło „samoorganizacji społecznej”, a w Czechach „siły bezsilnych”, na Węgrzech po raz pierwszy padły słowa o „antypolityce”. Tak zatytułowany został jeden z najważniejszych tekstów tamtych lat, w którym węgierski opozycjonista György Konrád pisał: „Antypolityka to stan zdziwienia. Człowiek odkrywa, że rzeczy są niezwykłe, groteskowe, co więcej – pozbawione sensu. Dowiadyuje się, że jest ofiarą, i nie chce nią być. Nie chce, by jego życie i śmierć zależały od innych ludzi. Nie zawierza swojego życia politykom, żąda, by zwrócili mu jego język i filozofię”. Antypolityka była w pełni uzasadnionym projektem kontestacji autorytarnego reżimu. Reżimu, który na trwałe skompromitował oświeceniowy rozum.

Ten reżim uczynił nas wszystkich sceptykami, którzy nie potrafią już na poważnie wierzyć tradycji, ale nie ufają także jej oświeceniowej krytyce. Równemu dystansowi do zaangażowania się po którejkolwiek stronie towarzyszy zanurzenie się w prywatność. Po „antypolityce” nastąpił w Polsce krótki okres polityki, a dziś wchodzimy w rzeczywistość „postpolityczną”. „Postpolityczną” współczesność z jej zmierzchem wielkich projektów zdominowała figura nowoczesnego cynika, której wcieleniem w Polsce jest nowy przywódca, były uczestnik projektu III RP oraz jeden z byłych koryfeuszów projektu IV RP – nareszcie premier Donald Tusk. „Nowoczesny cynizm – jak opisuje to twórca tego pojęcia Peter Sloterdijk – należy określić jako stan świadomości, który następuje nie tylko po epoce naiwnie wyznawanych ideologii, ale również po ich unicestwieniu”. Zauważmy od razu, że nowoczesny cynizm daleko odbiega od potocznego znaczenia słowa „cynik”. Nowoczesny cynik dystansuje się przecież od wielkich projektów w szlachetnej obawie przed ich niebezpiecznymi konsekwencjami. Robi to, bo czuje się odpowiedzialny, bo nie jest mu wszystko jedno, bo jest realistą.

„Gdyby na posterunkach zabrakło cyników, inni, zapewne jeszcze gorsi, natychmiast by ich zastąpili” – pisze Sloterdijk. Czyż nie stanowi to istoty legitymizacji Donalda Tuska w polskiej polityce? „By przeżyć – pisze Sloterdijk – trzeba ucześnieć do szkoły adaptacji. Innego wyjścia nie ma. Język ludzi, którzy pójdzie tą jedyną drogą zalecają z dobrą wiarą, przemianowuje adaptację na dojrzewanie”. „Ja już wyszedłem z etapu naiwnego liberalizmu. Jestem człowiekiem doświadczenia, a nie ideologii” – to już nowe *credo* Donalda Tuska (w rozmowie z Robertem Krasowskim – „Dziennik” z 14 października 2007 roku).

Jeśli wzorców, na których wspiera się współczesne odrzucenie polityczności, powinniśmy poszukiwać w „drugim obiegu” i w czasach przeciwstawienia społeczeństwa ideologicznej władzy, to podglebiam dla „nowoczesnego cynizmu” jest „trzeci obieg” w Polsce lat 80. Przypomnijmy: „trzeci obieg” to środowiska funkcjonujące w Polsce lat 80., nawiązujące do tradycji kontrykultury i niechętnie nastawione zarówno do władzy, jak i do opozycji. To pokolenie wychowane w nihilizmie Polski Jaruzelskiej, nienawidzące komuny, ale głuche na patos opozycji, wyrażające się raczej w „miękkich środkach” krytycznych ironii i parodii (Pomarańczowa Alternatywa, „bruLion”, ziny), raczej w muzyce (Jarocin) niż w literaturze. Pokolenie zagubione ideologicznie, co zaowocuje wieloma zwrotami, podatne na fanatyzm, ale ostatecznie skazane na porażkę w poszukiwaniu konkretnej tożsamości (będzie to pokolenie raczej prawicowe, ale tylko reaktywnie prawicowe, buntujące się przeciw utożsamianemu z lewicą pokoleniu Marca '68). Gdy w końcu uda mu się dorobić odpowiedniej pozycji we władzy, w mediach i biznesie, ideologią tego pokolenia okaże się „nowoczesny cynizm” (inna nazwa to „liberalizm zmęczenia” Cezarego Michalskiego, otwarcie przyznającego się do „cynicznej” postawy). „Cynizm w swym pozornie beztadnym rozproszeniu pasuje świetnie do kluczowych placówek współczesnego społeczeństwa: parlamentów krajowych i lokalnych, służb nadzoru i kontroli, ośrodków zarządzania produkcją i wymianą, fakultetów akademickich, kancelarii biurowatycznych i redakcji mediów” – wskazuje Peter Sloterdijk. Zresztą niemiecki filozof w innym miejscu także

zauważa obecny w opisywanym pokoleniu związek z kontrkulturą: „Cyników naszych czasów cechuje swego rodzaju zintegrowana społeczność. Pod tym względem przypominają adeptów kontrkultury, z którymi łączy ich ponadto gruntowne wyzbycie się iluzji”. Ów „nowoczesny cynizm” stanowi dziś doskonałą podbudowę dla polityki „pozbawionej iluzji” związanej z III i IV RP, polityki, którą uprawia dzisiejsza władza w Polsce na czele z Donaldem Tuskiem.

Dyskusja

Antoni Sułek:

W haśle „Polska Tuska” tkwi pewien paradoks. Określamy kraj imieniem polityka wyznającego filozofię, wedle której władza i rząd nie są bardzo istotnymi podmiotami lub inaczej – ich rola powinna być bardzo ograniczona. Chciałbym jednak mówić nie o Polsce Tuska, lecz o Polsce według Donalda Tuska. Jaka wizja wyłania się z jego wypowiedzi? Polska jest rodzajem agregatu. Według niego nie mamy do czynienia ze społeczeństwem, lecz ze zbiorem indywidualiów. Jeżeli już w wypowiedziach premiera pojawia się zbiorowość, to bardzo słabo zorganizowana, a przede wszystkim niezbyt zróżnicowana. Brak tu dostrzeżenia grup interesów, do których należy precyzyjnie adresować politykę. Są wręcz grupy, na przykład wieś (oddana pod władzę koalicyjnego stronnictwa), które w ogóle gdzieś się zagubiły. Polska, jaką prezentuje Donald Tusk, spłaszczyła się i odcięto z niej istotne elementy.

Nie wiadomo także, jakie mechanizmy według Donalda Tuska rządzą życiem społecznym, a tym samym, gdzie może rozpocząć się zmiana. Jarosław Kaczyński wyraźnie je definiował: istnieją „układ” oraz państwo, które będzie z nim walczyć. To przeciwstawienie uruchamiało dynamikę zmian. Co będzie takim motorem wedle obecnego rządu? „Ludzie”. To oni mają wziąć sprawy w swoje ręce. Premier bardzo często zwraca się do Polaków jako jednostek. Opisuje też rzeczywistość, używając kategorii psychologicznych.

Kluczową wśród nich jest zaufanie. Jednak w ten sposób nie można objasnić życia społecznego. Oczywiście, mechanizmem wprowadzającym ruch zmian może być sam rząd. Jednak ten wcale nie zamierza zbyt wielu zmian wprowadzać.

Obecna Polska jest krajem, który ma jeden wymiar: teraźniejszość. Tadeusz Kotarbiński mówił, że takie spojrzenie można porównać do medyka, który widziałby w człowieku jedynie skórę. Przy czym nie zarzucam Donaldowi Tuskowi, że porzucił politykę historyczną. Nie każdy rząd musi się nią zajmować, a sama koncepcja jej uprawiania, jak wiemy, wzbudza kontrowersje. Ważniejszy jest brak przyszściowego wymiaru rozmaitych decyzji politycznych. Wspomnę tylko o zapowiedzi reform związanych z reprivatyzacją. Najpierw ogłoszono, że będzie przeprowadzona, a dopiero później zaczęto się zastanawiać, jakie będą jej konsekwencje. Najkrócej mówiąc: Polska według Tuska to jest kraj, który składa się z niezróżnicowanych jednostek, przy czym nie bardzo wiadomo, dlaczego miałyby one się zmieniać i myśleć nie tylko o teraźniejszości.

Tadeusz Szawiel:

Chciałbym mówić o Polsce Tuska jako podmiocie politycznym, który ma wpływ na to, co będzie się działo z Polską, jakie będą jej pozycja i możliwości działania w Unii Europejskiej. Chciałbym także odnieść się do czynników strukturalnych, warunkujących możliwości i ograniczenia rządów Platformy Obywatelskiej.

Obecnie mamy do czynienia ze zmierzchem post-Rywinowskiego układu politycznego, którego początki związane są z publiczną dyskredytacją i spadkiem poparcia politycznego dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Załamanie poparcia dla tego ugrupowania – inna rzecz to ocena przyczyn – nie miało precedensu w liberalnych demokracjach. Po drugiej wojnie światowej w żadnym kraju partia, która uzyskała w wyborach poparcie powyżej 40 procent, nie skończyła rządów po czterech latach z poparciem na poziomie 10 procent. Taka implozja jest zdumiewająca. Jednocześnie dość młode

stażem, bo powstałe w 2001 roku, partie szybko uzyskały szansę przejścia władzy. Prawo i Sprawiedliwość oraz Platformę Obywatelską postrzegalbym jako partie wzajemnie sprzężone i uwarunkowane, w obu wymiarach: pozytywnym i negatywnym.

Obie są w pewnym sensie ofiarami sukcesu III Rzeczypospolitej. Na czym ten sukces polegał? W latach 2003–2004 mamy do czynienia z systematycznym wzrostem gospodarczym, rosnącymi przychodami budżetu, spadkiem stopy bezrobocia. Od 2004 roku zaczynają rosnąć także wskaźniki zadowolenia społecznego. Wcześniejsze rządy nie funkcjonowały w tak dobrych warunkach. W takiej sytuacji łatwiej jest spersonalizować konflikt polityczny. Lepiej przebijają się do opinii publicznej ambicje, emocje, walka podjazdowa, prestiżowe potyczki. Są to bezpieczne tematy. Łatwiej także w takiej sytuacji administrować, bo nie trzeba podejmować ryzyka reform. Istnieją przecież środki, które oczywiście nie są nieograniczone, ale w krótkiej perspektywie amortyzują brak reform. Jeśli w krótkim okresie głównym celem politycznym Platformy Obywatelskiej jest prezydentura dla Donalda Tuska, to przewaga administrowania nad podejmowaniem ryzyka reform jest jak najbardziej zrozumiała.

Moim zdaniem po wyborach w 2007 roku następuje także niewyartykułowane przewartościowanie założeń przyjętych w latach 2003–2005 (doszło wówczas do rozmaitych redukcji III Rzeczypospolitej: do korupcji, układu, rosnących rozpiętości, biedy, oligarchii). Ten proces rozpoczął się w Platformie Obywatelskiej. Uważam, że także Prawo i Sprawiedliwość będzie musiało zmierzyć się z tym problemem.

Nie będę jednak starał się oddawać sprawiedliwości III Rzeczypospolitej. Wspomnę tylko o dwóch sprawach. Po pierwsze, fałszywe jest postrzeganie lat 90. jako okresu rosnących rozpiętości dochodowych. Analizowane przez Bogdana Cichomskiego badania Polskiego Generalnego Sondażu Społecznego¹ pokazują, że w latach 1992–1999 nie zaobserwowaliśmy

¹ Bogdan Cichomski, *Plaszczyzny nierówności dochodów i wynagrodzeń w Polsce w latach dziewięćdziesiątych*, w: Bogdan Cichomski, Wiesława Kozak, Paweł Murawski, Witold Morawski, *Sprawiedliwość społeczna*, Warszawa 2001, s. 27–60.

w Polsce wzrostu rozpiętości dochodowych, natomiast rozpiętości płacowe w tym okresie nawet zmalały.

Po drugie, problem biedy. Można ją badać na wiele sposobów. Wspomnę o jednym: badaniu biedy odczuwanej przez respondentów (biedy subiektywnej). Powołam się na dane za lata 1997–2006 opracowane przez Elżbietę Tarkowską². W 1997 roku subiektywne ubóstwo deklarowało 31 procent Polaków. Maksymalny poziom wskaźnik osiągnął w 2000 roku – 34 procent. W 2003 roku było to już 28 procent, a w 2006 roku – 18 procent. To istotna zmiana.

Rozmawiając o Polsce Tuska, trzeba wziąć pod uwagę i poziom nierówności, i odczuwanie subiektywnej biedy, a dodatkowo dopływ środków europejskich. Wszystkie te czynniki sprawiają, że możliwa jest polityka sprofilowana jedynie do administrowania.

Oczywiście, administrowanie również niesie ze sobą pewne koszty. Jednak Platforma Obywatelska podejmuje także ważne kroki. Jednym z nich jest reprivatyzacja. Wszystkie rządy mówiły o jej przeprowadzeniu, ale nikt nie doprowadził do uporządkowania praw własności, co hamuje wzrost gospodarczy. Rozwiązanie problemu odszkodowań za mienie zabużańskie i tzw. mienie pożydowskie oraz dokończenie reprivatyzacji – jeżeli tylko się powiedzie – będzie wielkim strategicznym osiągnięciem PO. Jest to bowiem problem infrastruktury, znacznie ważniejszy niż budowa autostrad. Sprawą niezłatwioną pozostanie problem roszczeń niemieckich, ale obecne pokolenie polityków tego problemu nie rozwiąże. Potrzebne są tu czas oraz nowe pomysły, ale to kwestia kluczowa dla roli Polski w Unii Europejskiej.

Ostatnia sprawa to reforma finansów publicznych, ostatnia z wielkich i nigdy niedokończonych reform. Czy do niej dojdzie? Tego nie wiemy.

² Elżbieta Tarkowska, *Armut in Polen*, „Polen Analyse”, nr 28, www.laender-analysen.de/polen/.

Waldemar Kuczyński:

Zgadzam się z przytoczoną przez Dariusza Gawina opinią Michała Boniego, że rząd Platformy Obywatelskiej powinien być rządem małych kroków. Nie można z samego faktu przeprowadzania zmian i reform czynić kryterium oceny rządu. Najpierw trzeba zadać pytanie, jakie zmiany i reformy są potrzebne.

Uważam także, że Polska dzisiaj nie potrzebuje żadnych wielkich reform, które wymagałyby szybkiego burzenia dorobku ostatnich dwudziestu lat. Nie widzę dziedziny, w której istniałaby potrzeba powtórzenia działań przypominających te, które podejmowaliśmy w 1989 roku. Wówczas bardzo liczyły się czas i potrzeba przeprowadzenia bardzo szybkich zmian.

Obecnie we wszystkich dziedzinach – w służbie zdrowia, oświacie, w finansach publicznych, a także w sprawie prywatyzacji – należy dokonać generalnego przeglądu i sprawdzić, jak rzeczy się mają po blisko dwudziestu latach tworzenia oraz eksploatacji systemu, który został w Polsce stworzony ogromnym nakładem pracy i który jest wielką wartością. Powinno to zostać zrobione z szacunkiem i pietyzmem dla wykonanej pracy poprzednich rządów; trzeba być przygotowanym na dokonywanie zmian tam, gdzie uzna się, że to jest konieczne.

Rząd Donalda Tuska powinien natomiast dokonać wielkiego „pchnięcia infrastrukturalnego”, swoistego cywilizacyjnego ruchu, który wiąże się z wykorzystaniem środków unijnych oraz organizacją Euro 2012. Ten rząd powinien stać się rządem wielkiej pracy organicznej, a nie nowych wizji. Wystarczy nam wizja Polski, która jest realizowana od dwudziestu lat.

Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden element. Można gwałtownie wprowadzać zmiany w systemie, iść na zderzenie z różnymi środowiskami społecznymi, ale można też rozłożyć zmiany w czasie i wprowadzać je łagodnie. Platforma działa w otoczeniu wyjątkowo niesprzyjającym radykalnym zmianom. Nie otrzymała poparcia potrzebnego do przeprowadzenia wielkich reform, lecz chce umożliwić ludziom odetchnięcie od różnych szaleństw i pozwolić im cieszyć się dobrym okresem, w jakim żyjemy.

Pozostaje jeszcze partner Platformy w rządzeniu. Ta koalicja jest wielką wartością, ponieważ wspólnie powstała siła polityczna blokująca główną partię opozycyjną, która – moim zdaniem – jest siłą zagrażającą porządkowi demokratycznemu w Polsce. Nie warto zatem podejmować niekoniecznych działań, które by tę koalicję rozsadzały od środka.

Leszek Koczanowicz:

Mam problem ze sposobem, w jaki podczas tej dyskusji są używane terminy „polityczność” i „antypolityczność”. Przywoływane przykłady konkretnych działań rządu Donalda Tuska (jak dotyczące lotniska we Wrocławiu), a także plany radykalnych przemian społecznych, związane z zapowiadanyimi reformami służby zdrowia, oświaty i szkolnictwa wyższego, są jak najbardziej działaniami politycznymi. Oczywiście, wszystkie te plany rozmywają się w rozmaitych dyskusjach i brak w tych kwestiach jakichś decyzji, ale wyraźny jest kierunek proponowanych zmian: liberalna modernizacja. Z tymi planami wiąże się także wyraźna wizja społeczeństwa, dobrze opisana przez Antoniego Sułka.

Moim zdaniem rząd Donalda Tuska jest też daleki od tego, co bywa określane jako postpolityka – zmierza do celów, które w danej chwili się wyłaniają. Polityki PO nie określiłbym też mianem „miękkiego populizmu”. Mamy do czynienia raczej z miękkim „thatcheryzmem”, z określoną wizją społeczeństwa liberalnego. Tożsamość Platformy można określić jako liberalną małym komponentem w postaci elementów konserwatywnych, występującym tu bardziej jako zastona dymna niż jako poglądy rzeczywiście podzielane i wcielane w życie. Odrębną sprawą jest typ dyskursu politycznego. PO próbuje, co jest uprawnione w polityce, zdominować scenę polityczną poprzez używanie języka maksymalnie neutralnego i przyciągającego jak najszerszą grupę odbiorców.

Wybory w 2007 roku są według mnie początkiem przebudowy sceny politycznej w Polsce, a nie jej zakończeniem. Proces ten wiąże się z końcem transformacji ustrojowej. SLD został wypchnięty z pola politycznego, ponieważ

był typową partią dla tego właśnie okresu. Niczym ryba w wodzie żył w retoryce i poetyce transformacji. Ten czas jednak dobiegł kresu.

W tej chwili – użyjmy języka postmarksistowskiej filozofii politycznej – tworzą się dwa hegemoniczne bloki: liberalno-lewicowy (organizowany wokół PO) i narodowy (obejmujący różne ugrupowania, ale z wyraźną hegemonią PiS-u). Dla pierwszego bloku słowem znaczącym jest modernizacja, dla drugiego – narodowość, lud itd. Obecnie te dwa bloki nieźle funkcjonują, nawet rozszerzają swoje wpływy, czego przykładem jest wypchnięcie z Sejmu LPR-u i Samoobrony.

Czy w tej sytuacji możliwe jest powstanie trzeciego bloku, lewicowego? Teoretycznie tak. Musiałby on połączyć modernizację z walką o przegranych transformacji. SLD nie zdołał tego dokonać. Konieczne byłoby połączenie tych dwóch elektoratów przy pomocy jakiejś hegemonicznej kategorii. Tylko wtedy uda się zmienić obecną konfigurację sceny politycznej.

Jacek Żakowski:

Odnoszę wrażenie, że dzisiaj przede wszystkim trudno odpowiedzieć na pytanie: kim jest Donald Tusk? To postać niezwykle enigmatyczna. Przed trzema laty stał na czele partii, której program – niezwykle radykalny – wyznaczały dwie osoby: Zyta Gilowska i Jan Rokita. Powstał obraz partii nieodpowiedzialnej retorycznie, *de facto* rewolucyjnej. Przypomnę tylko kilka haseł: „3 razy 15”, czyli wizja podatków w Polsce według Zyty Gilowskiej; z kolei Jan Rokita wzywał do „szarpnięcia cuglami”, mówił o „ściganu się po prawej bandzie” z Jarosławem Kaczyńskim.

Obu tych osób nie ma już w Platformie Obywatelskiej. Co zatem pozostało z tej partii? Co Donald Tusk sądzi dziś o hasle „3 razy 15”? Tego nie wiemy. W retoryce PO od czasu do czasu powraca jedynie postulat podatku liniowego, ale raczej w bardzo umiarkowanej wersji podatku płaskiego, zrównującego trzy stawki. Można powiedzieć, że Donald Tusk wyłania się na czele niedobitków swojej armii z pyłu bitewnego, który został po walce o IV RP. Skład osobowy tej armii tak bardzo się nie zmienił, ale bunkier sztabowy został kompletnie zdewastowany.

Jedno się nie zmieniło. Donald Tusk był twarzą partii tworzonej przez Zytę Gilowską i Jana Rokitę. Obecnie jest twarzą partii tworzonej przez Grzegorza Schetynę i Michała Boniego. Zatem rozmawiamy o innej partii, chociaż być może posiadającej podobny elektorat. Jaka jest ta partia? Trzeba raczej pytać: jaka będzie? Jeżeli popatrzeć na wypowiedzi członków rządu, to widać głęboki chaos. Duża część ministrów próbuje od nowa wymyślić jej politykę. Są to prace indywidualne, domowe, więc wymyślają pomysły z trudem do siebie pasujące. Następnie Premier – być może posiadający jakąś całościową wizję, ale tego nie wiemy – ogłasza, że ten pomysł ministra „X” jest dobry, a ten zły. Ale przecież chodzi o fundamentalne elementy polityki rządowej, a nie o politykę Katarzyny Hall, Barbary Kudryckiej, Stanisława Gomułki czy Jacka Rostowskiego!

Nie wiem także, czy rząd w ogóle rozmawia o najważniejszych projektach. Nie wiem, czy Platforma Obywatelska jako partia próbuje stworzyć jakiś swój spójny wizerunek. Czy ta partia stworzyła już jakiś obraz Polski zastępujący poprzedni, autorstwa Zyty Gilowskiej i Jana Rokity? Wiemy jedynie, że obraz stworzony przez te dwie osoby jest już nieaktualny. Inaczej mówiąc, już chyba wiemy, jaka nie jest Polska Tuska. To nie jest IV Rzeczpospolita, bo ta wizja została zniszczona przez protest pielęgniarek i „białe miasteczko”. Potem ta idea mogła tylko zdechnąć. Jednak antyteza wobec IV RP, jaką była przedstawiona przez Tuska polityka Polski miłości, też skończyła się wraz z listami protestacyjnymi przeciwko reformie oświaty oraz reformie nauki i szkolnictwa wyższego. Dymisja Stanisława Gomułki ujawniła kryzys budowania nowej wizji politycznej. Wchodzimy w nowy okres, który jest dla mnie kompletną niewiadomą.

Sądzę, że po porzuceniu radykalnych pomysłów Donald Tusk musi stać się politykiem pragmatycznym typu Tony’ego Blaira. Oznacza to, że będzie ewoluował w stronę nowej lewicy. Równocześnie z okazji 100 dni swojego rządu wygłosił przemówienie, w którym pojawiały się pomysły niesamowite, jak zmniejszenie liczby posłów. Następuje brutalne przejście z epoki marzeń do epoki polityki. IV Rzeczpospolita była w każdym wymiarze czasem polityki symbolicznej. Symbole zastępowały nawet politykę gospodarczą. Pamiętam

zdziwienie na twarzy Zyty Gilowskiej, gdy ją zapytałem o przychody budżetu przy podatku „3 razy 15”? Usłyszałem, że nie uda się tego policzyć! Jeżeli tak, to nie można wysuwać podobnych postulatów. Minął czas symboliki i wchodzimy w okres polityki jako działalności publicznej, która – chcąc nie chcąc – musi być zakorzeniona w rzeczywistości. Donald Tusk będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, jak zreformuje oświatę. Będzie musiał podjąć decyzję w sprawie podatku liniowego. Wiemy już, że ten podatek nie będzie wprowadzony w 2009 roku. A w 2010? Nieuchronnie zbliża się czas, kiedy Donald Tusk będzie musiał odpowiedzieć na pytanie: jaka ma być według niego Polska?

Janusz Czapiński:

Często w podobnych dyskusjach pada pytanie: gdzie są wielkie państwowe inwestycje po 1989 roku? Nie ma ich. Polacy budują coraz piękniejsze domy. Firmy wystawiają coraz wspanialsze biurowce. Nie zostały jednak uruchomione mechanizmy, które doprowadziłyby do efektywnej inwestycji wspólnotowej. Związane jest to z problemem poruszonym przez Antoniego Sułka. Jesteśmy zbiorem molekuł. Nie zaczęliśmy tworzyć społecznej wspólnoty. Nie ma też jakiejś siły politycznej, która miałaby dobrą odpowiedź na pytanie, jak uruchomić mechanizm jej budowania. Zresztą nikt z rządzących tym problemem do tej pory się nie zajmował.

Podstawowym problemem jest opis polskich przemian po 1989 roku. Rząd Tadeusza Mazowieckiego dobrze odczytał stan dezintegracji społecznej. W związku z tym dominujące hasła w III RP aż do czasu dojścia do władzy Prawa i Sprawiedliwości odwoływały się do jednostki, a nie do zbiorowości: „weź wędkę i zacznij na własną rękę budować swój dobrobyt”, „w zasięgu każdego z nas jest możliwość szybkiego awansu materialnego, cywilizacyjnego, tylko wszyscy powinniśmy się indywidualnie do tego zadania przyłożyć”. Polacy bardzo dobrze ten apel odebrali. Zaczęli inwestować w siebie. Udało się doprowadzić do wzrostu kapitału ludzkiego. Niezależnie od tego, jak będziemy oceniać obecny poziom kształcenia na poziomie wyższym, to pięciokrotnie wzrosła liczba studentów. Co ważne, ten wzrost nie był

finansowany przez państwo. Poziom finansowania nauki i szkolnictwa wyższego we wskaźnikach bezwzględnych pozostał na tym samym poziomie, co przez 1989 rokiem, biorąc zaś pod uwagę wskaźniki względne (wielkość produktu krajowego i wysokość budżetu), to odnotowujemy tu spadek.

Jednak każda zbiorowość tęskni za wspólnotowym lepszym. Polacy, moim zdaniem, odczuwali tu duży brak. Indywidualnie się bogacili, narastały też – wbrew temu, co mówił Tadeusz Szawiel – różnice dochodów. Analitycy różnie lokują okres, kiedy zatrzymał się ten proces. Według mnie dopiero od 2003 roku przestał następować wzrost rozwarstwienia ekonomicznego polskiego społeczeństwa, a nawet być może nastąpiło lekkie zmniejszanie się tych różnic. Uważam, że uzyskaliśmy średni europejski poziom (nie jest to rozwarstwienie typu latynoskiego). Istotny jest jednak inny element: rośnie stopień niezaspokojenia apetytów. Bogacimy się, ale rosną nasze aspiracje. Tadeusz Szawiel wspominał już o wynikach badań dotyczących biedy, prowadzonych przez Polski Generalny Sondaż Społeczny. Ja odwołam się do innych badań: Diagnozy Społecznej. W roku 2000 rozbieżność między frakcjami osób ubogich w sensie obiektywnym i subiektywnym wynosiła 20 procent (o 20 punktów procentowych było więcej tych, którzy mówili, że czują się ubodzy, niż tych, którym ubóstwo mierzono za pomocą dochodów). W roku 2003 ta rozbieżność wzrosła do 28 procent, w roku 2005 do 30 procent, a w roku 2007 osiągnęła 53 procent. Te wyniki badań wskazują na istnienie ukrytego detonatora, który może wywołać wybuch społeczny. Rządzący muszą udzielić odpowiedzi na pytanie, co zrobić, by zmniejszyć tę rozbieżność. Wyniki te są też apelem, by coś zrobić w sprawie wspólnoty.

W roku 2005 Polacy zauważyli, że jest partia, która mówi: skończmy z zadaniami adresowanymi indywidualnie do poszczególnych osób, weźmy się za zadania wspólnotowe. I duża część Polaków opowiedziała się za takim przestaniem. Jednak projekt PiS-u był ofertą budowania – posługując się delikatnym językiem – wirtualnej wspólnoty, defensywnej, obronnej, opartej na doświadczeniach historycznych i identyfikacji religijnej. Wspólnoty podszytej duchem podejrzliwości wobec wszystkich, których

z jakiegoś powodu z niej wyłączamy. Była to oferta budowy wspólnoty nieproduktywnej. Taka wspólnota nie zbuduje autostrady ani nie stworzy wspólnego projektu modernizacji.

Przez pewien czas elementem cementującym PiS było poczucie, że interesy partyjne idą w dobrą stronę. Obszar władztwa ulegał powiększeniu. Niepowodzenie przyspieszonych wyborów parlamentarnych pokazało, że to było jedyne lepsze jednoczące partię. Prawo i Sprawiedliwość *notabene* nie jest wyjątkiem: inny dobry przykład to Lewica i Demokraci.

Wskazałbym na jeszcze jeden problem dotyczący polskich elit. Jeżeli ktoś posiadał głębokie przekonanie o własnej racji, to zazwyczaj wygasza swój instynkt społeczny. Inni muszą się z nim zgodzić, przyłączyć się do jego racji – albo nie ma mowy o wspólnym działaniu. Problem w tym, że spora grupa „innych” ma także silne przekonanie o posiadaniu racji. Oczekują zatem od tego, kto głosi jakieś hasło, by je porzucił i przyjął inne.

Czy Donald Tusk spróbuje przelamać ten schemat wymiany molekuł na wirtualną wspólnotę? Moim zdaniem nie. On wrócił do przestania z początku transformacji. Nie ma wspólnoty, tylko zbiór molekuł. Nie można ich scementować, nawet odwołując się do symboli narodowych czy do historii, jak próbowali to robić budowniczowie IV Rzeczypospolitej. Donald Tusk mówi: to punkt wyjścia, nowy rok 1989. Oczywiście, funkcjonujemy już w innej sytuacji. Mamy samochody i domy. Jedna rzecz nie ulega jednak zmianie: nie ma efektywnej wspólnoty społecznej.

Polska Tuska w sensie społecznym to powrót do Polski Mazowieckiego. Ten rząd nie chce jątrzyć czy też dzielić. Każdy ma prawo rozwijać się na swój sposób i wedle własnych aspiracji. Mówi też: skończmy z zachętą, by tworzyć jakąkolwiek zwartą wspólnotę. Jak sądzę, dla Donalda Tuska takie ciągoty pachną po prostu ideologią. Dostrzega on przekleństwo polityków, którzy próbowali przeforsować jakiś projekt ideowy dla Polski. Zawsze kończyło się to źle. W tej sytuacji nośne jest hasło o „teraźniejszości”. Odnosimy się jedynie do bieżących zadań. Nie dzielą nas doświadczenia historyczne, nie sprawdzamy naszych korzeni ani nie lokujemy naszej tożsamości w przeszłości. Nie dzieli nas też wizja, dokąd mamy dojść.

Odwwołanie się do społeczeństwa molekuł jest trafne i może dawać impuls rozwojowy, ponieważ dodatkowo jest on wzmacniany finansowo od zewnątrz. Co jednak podtrzyma nasz rozwój po roku 2013? Moim zdaniem rezerwy związane z kapitałem ludzkim już się wyczerpują. 50 procent Polaków w ciągu 5 lat nie zdobędzie doktoratów. Nie staniemy się naukowymi tygrysami świata. Możemy jeszcze podwoić liczbę osób z wyższym wykształceniem: z licencjatem (to marny dyplom i daje niską stopę zwrotu) lub ze stopniem magistra.

Stoimy obecnie przed dwoma wyzwaniami. Po pierwsze, Polska spośród innych krajów europejskich ma najśłabszy związek między kapitałem ludzkim a kapitałem społecznym. Najśłabsza jest również korelacja między poziomem wykształcenia a otwartością na innych ludzi, gotowością do współpracy. U nas ten związek jest dwukrotnie słabszy niż w Danii czy w Szwecji. Po drugie, w Polsce od dawna nie widać jakiegokolwiek postępu w budowaniu kapitału społecznego. Dlaczego? Ponieważ składana przez polityków oferta budowania wspólnoty wirtualnej lokowała się obok realnego kapitału społecznego, a nawet zastopowała jego tworzenie poprzez sączenie jadu nieufności i podejrzliwości.

Krystyna Skarżyńska:

Jak już zostało tu powiedziane, Donald Tusk jest postacią enigmatyczną. Dla mnie jednak jego zaletą jest to, że potrafi się zmieniać. Wcześniej nie miał doświadczeń z realną władzą, co pozwalało mu głosić bardzo różne hasła. Teraz spotkał się ze światem realnej polityki. Jednak ważnym problemem jest wielkość wyzwań i planów na przyszłość. Przy czym zgadzam się z Waldemarem Kuczyńskim, który zwracał uwagę na brak społecznego przyzwolenia na rewolucyjne reformy. Już je przeprowadziliśmy.

Nie widziałabym w niechęci rządu Donalda Tuska do przeprowadzania reform jedynie pragmatyzmu. Nie wiadomo jeszcze, czy za ich brakiem stoi chęć zachowania władzy, czy też kryje się zamiar uprawiania „miękkiej polityki”, polityki, w której próbuje się zobaczyć oczekiwania i propozycje

społeczeństwa, a następnie stara się je realizować. Widzę zatem siłę, a nie słabość w braku posiadania wielkich wizji. One towarzyszą społeczeństwom, które są nawiedzane przez kryzysy, a nie tym, które przeżywają stabilny rozwój. Czymś innym jest misja. I być może trochę nieświadomie Donald Tusk ją zarysowuje: Polska ma być normalnym, rozwijającym się krajem, współpracującym, a nie atakującym innych. Chociaż rozumiem, że dla niektórych taki projekt to za mało.

Nie sądzę też, aby stosunek Tuska do państwa, jak to bywa czasami przedstawiane, można określić jako krytyczny czy niechętny. Nie wiem, czy jest on w tej kwestii klasycznym liberałem. Dostrzegam coś innego. Ta ekipa próbuje pokazać, że państwo może być przyjazne, a nie opresyjne. Być może za mało jest dostrzegania znaczenia obywatelskości, chociaż właśnie to słowo pojawia się w nazwie partii. Można się domyślać, że taka postawa wynika z niechęci do wszelkich ideologii, a dodatkowo słowo „obywatel” nadal w Polsce nie jest najbardziej lubiane. Stąd zapewne bierze się powściągliwość PO.

Wreszcie chciałabym wymienić dwa problemy. Po pierwsze, nie wiem, czym jest Platforma Obywatelska. Nie wiem, jak silną pozycję w swojej partii ma Donald Tusk. W PO są osoby pochodzące z bardzo różnych ugrupowań i o bardzo różnych poglądach: od Jarosława Gowina do Janusza Palikota. W jakim kierunku będzie szła ta partia? Można podejrzewać, że Donald Tusk jest miotany od ściany do ściany. Jaką siłę w tej partii mają konserwatyści, a jaką skrajni liberałowie? Tego wszystkiego nie wiemy.

Po drugie, stosunek do elit. Donald Tusk ma z nim problem. Wie, że część elit na niego głosowała, może z zaciśniętymi zębami, bo zarzucano mu m.in. brak misji. Elity, zwłaszcza intelektualne, są zbyt „ideologiczne”. Tusk jest pragmatykiem, nie intelektualistą. Jednocześnie jest realistą i zdaje sobie sprawę, że Polska jest znacznie bardziej zróżnicowana społecznie. Problemy elit to niekoniecznie problemy najważniejsze dla większości. I tu pojawiają się napięcia. Tusk może zgotować elitom niezłe numery i *vice versa*.

Ostatnia kwestia. Widoczne jest przesuwanie się Donalda Tuska do centrum. Dla wielu łączy się to ze zwrotem ku liberalizmowi. Ja tak nie uważam. On zdaje sobie sprawę, że społeczeństwo odsuwa się od swoich reformatorów. Władza może oczywiście zaspokajać potrzeby jedynie najsilniejszych, którzy mają większy kapitał ludzki i społeczny – oni go właśnie poparli, ale oni też poradzą sobie z każdą władzą. Istnieją jednak inni obywatele. To z ich powodu następuje przesuwanie się PO do centrum. Jest to także odpowiedź na krach lewicy w Polsce. Osoby myślące lewicowo również mogą uważać, że Tusk im specjalnie nie szkodzi.

Irena Wóycicka:

Być może za wcześnie mówić o tym, co przyniosły rządy Donalda Tuska. Jednak jeżeli popatrzymy na jego poprzedników, to można dostrzec pewną prawidłowość: oceniamy je przez dokonania pierwszego roku sprawowania władzy, bo na ogół kolejne stanowiły kontynuację wcześniejszych działań lub też były w coraz większej mierze podporządkowywane nadchodzącym wyborom parlamentarnym. Obecny rząd nie ma więc zbyt dużo czasu. Oczywiście, pojawiły się już dyskusje dotyczące ważnych reform: zdrowia, edukacji, nauki. Jednak proces prac nad ewentualnymi zmianami jest dość dziwny. Nie widać tu determinacji rządu.

Niemieccy ekonomiści Klaus Mackscheidt i Guy Kirsch opisali w swojej książce *Staatsmann, Demagoge, Amtsinhaber*³ trzy tytułowe kategorie rządów: mężów stanu, demagogów i urzędników. Zajęli się także problemem napięć powstających między podejściem rządu a stanem ducha społeczeństw. Rząd urzędników odzwierciedla poziom lęków istniejących w społeczeństwie. Być może taki właśnie model przyjął Donald Tusk: nie podejmuje nowych wyzwań, jak czynią to rządy mężów stanu, ale też nie mobilizuje społeczeństwa wokół urojonych zagrożeń, co charakteryzuje rządy demagogów.

³ Klaus Mackscheidt, Guy Kirsch, *Staatsmann, Demagoge, Amtsinhaber: eine psychologische Ergänzung der ökonomischen Theorie der Politik*, Göttingen 1985.

Nasze trudności w ocenie obecnych wydarzeń wynikają również z braku zdefiniowania w dyskursie politycznym pól sporów i wyborów. Po walce z III Rzeczpospolitą pozostała sterta zbitej porcelany. Trudno ją na nowo posklejać i stworzyć kategorie myślenia pozwalające określić pole wyboru. Co na przykład oznacza dziś „modernizacja”? Czy jest to budowanie dróg i stadionów, czy inwestowanie w kapitał ludzki, budowanie kapitału społecznego? Czy modernizacja powinna odbywać się jedynie w obrębie instytucji, czy też ma dotyczyć uwarunkowań kulturowych, zachowań, nawyków współpracy, aspiracji? Rząd Donalda Tuska nie odpowiada na takie pytania, ale też nie padają one w szerszej dyskusji publicznej. A tych pytań jest więcej: czy proces modernizacji ma się opierać na elitach, czy, przeciwnie, podstawowym wyznacznikiem ma być spójność społeczna? Antoni Sulek wspominał tu już o problemie wsi, ale to samo można powiedzieć o małych miasteczkach. Czy one znajdą się w Polsce, która będzie się unowocześniać, czy też – jak dzieje się obecnie – mają pozostać zasklepione w starych strukturach instytucjonalnych, ale również ekonomicznych i społecznych?

Pozostaje też wspomniany już problem spójności społecznej oraz stosunku do różnicowań. Dyskusja wokół tej ostatniej kwestii jest w Polsce wyjątkowo zmanipulowana. Oczywiście, nie mamy do czynienia ze skalą różnicowań i ubóstwa, jaka istnieje w Ameryce Południowej. Jednak żyjemy w Europie i na tym tle wypadamy nie najlepiej. Wręcz przeciwnie. Mamy wysokie zróżnicowanie dochodów na tle innych krajów Unii. Nie ma też sensu dyskutować nad tym, czy w Polsce istnieje ubóstwo. Odpowiedź jest bardzo prosta: tak. Pozostaje natomiast pytanie: czy i w jaki sposób się nim zajmować? Czy proces modernizacji ma obejmować również tych, którzy pozostali ubodzy i przekazują cechy marginalizacji następnym pokoleniom, czy też nie? Czy zwiększać transfery społeczne, czy przede wszystkim ułatwiać dostęp do dobrej pracy i edukacji? Czy to ważne dla rozwoju kraju? Na te wszystkie pytania mogą padać różne odpowiedzi.

Ostatnia kwestia. Polskie społeczeństwo jest bardzo pluralistyczne. Istnieją liczne instytucje obywatelskie: organizacje i inicjatywy pozarządowe, autonomiczne samorządy terytorialne różnych szczebli, samorządy zawodowe.

Pracownicy oraz pracodawcy w rozmaity sposób się zorganizowali. Oczywiście, chcielibyśmy, by tych instytucji było więcej.

W dziedzinie polityki społecznej powstaje pytanie, jak włączyć te wszystkie instytucje do współpracy. Ustawy nie wystarczają do realizacji zadań państwa w tej sferze. Nie ma siły sprawczej, pozwalającej na przykład zorganizować program przeciwdziałania ubóstwu bez współdziałania z samorządami i organizacjami pozarządowymi. Jak zatem miałby wyglądać zmodernizowany styl rządzenia? Kto jest partnerem rządu w różnych wymiarach polityki? Donald Tusk nie udziela nam odpowiedzi na te wszystkie pytania, ale też nie słyszymy ich w debacie publicznej. Nasuwa się zatem jeszcze jedno pytanie: co nastąpi po rządzie urzędników? I czy wyklarują się punkty odniesienia, które zdefiniują pole polityk następnego rządu?

Marek Beylin:

Dariusz Gawin i Sławomir Sierakowski trafnie przedstawili pewne cechy Platformy Obywatelskiej: mglista opowieść, brak silnej wizji, dreptanie w teraźniejszości. Nie uznaję jednak tych cech za wady. Wręcz przeciwnie. Uważam, że zadaniem rządu nie jest opowiadanie obywatelom, na czym polega dobre życie i jak powinna wyglądać ich przeszłość. Zadaniem nie jest także budowanie konfliktów społecznych podług linii wyznaczanych przez silne wartości.

Platforma Obywatelska dobrze zrozumiała czas, w którym przyszło jej rządzić. Wszystkie rządy po 1989 roku zdobywały władzę, wieszcząc rewolucję, czyli składając fantastyczne obietnice radykalnej poprawy losu ludzkiego – i ponosiły klęskę. Były tylko dwa wyjątki: rząd Tadeusza Mazowieckiego, który robił rewolucję, ale ona nie była podstawą jego legitymizacji społecznej, oraz rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego, który ograniczał się do administrowania krajem. Mówiąc inaczej, wszystkie rządy III RP (i IV RP) odwoływały się do mocnej wizji przyszłości, równocześnie ją korumpując.

Platforma Obywatelska poważyła się na eksperyment: legitymizuje się przez teraźniejszość. Szczęśliwie PO nie wkracza w sferę przeszłości oraz pomija przyszłość, bo doświadczenie podpowiada, że w przypadku poprzednich ekip przedstawianie takich wizji okazało się nieskuteczne. Trzeba także pamiętać, że obie te sfery zostały zajęte (i zdewastowane) przez Prawo i Sprawiedliwość. Ta partia odwoływała się nie tylko do przeszłości, ale też do przyszłości. Mówiła, jaka ma być Polska: silna, mocna. Działania PO wydają się bardzo racjonalne. Poruszanie się wyłącznie w horyzoncie teraźniejszości, choćby *per saldo* niemożliwe, jest elementem stabilizującym.

Mówi się także, że Platforma Obywatelska jest formacją unikającą debaty. To prawda. Ale kto dzisiaj nie unika dyskusji, zwłaszcza tych ważnych? Rozpadły się wszystkie dotychczasowe języki. W dodatku po spazmie PiS-u okazało się, że elity mają bardzo małe doświadczenie w dyskusowaniu o pułapkach, zagrożeniach i możliwościach demokracji liberalnej oraz modernizacji. Jeśli spojrzymy na historię wielkich debat w Polsce po 1989 roku, to dotyczyły one innych problemów. Rozmawialiśmy o PRL-u, dekomunizacji, lustracji. Odbywały się debaty o przeszłości. Ważne, budujące wspólnotę albo też inaczej ją komponujące.

Wreszcie przyszedł czas PiS-u. Odbywały się debaty niestychanie ważne, ale równocześnie zawstydzające, ponieważ dotyczyły spraw, które kilka lat wcześniej wydawały się banalne: czym są demokracja, praworządność, na czym polega prymat prawa nad władzą, co wyznacza wolność jednostki? Oczywiście, rozmawialiśmy także o tym, kto jest z KPP, ale do tego aspektu dwóch ostatnich lat nie warto wracać. Debatowaliśmy zatem o sprawach elementarnych, ale niemających wiele wspólnego z realnymi problemami demokracji liberalnej. Były to dyskusje konieczne – bo sytuacja stała się groźna – ale dla rozwoju intelektualnego Polski nie bardzo przydatne. Dzisiaj znaleźliśmy się w sytuacji pustki. Brakuje nam tradycji dobrej dyskusji o demokracji liberalnej i modernizacji. Sytuacja partii politycznych nie różni się tu od sytuacji elit.

Oczywiście, niepokoi mnie stosunek Donalda Tuska do elit (i nie tylko). Być może uważa on, że skoro ma poparcie „wszystkich”, to z nikim konkretnym

nie musi już rozmawiać. Zdumiało mnie to, co zdarzyło się przy okazji listu profesorów w sprawie reformy uniwersytetów i pomysłu zniesienia habilitacji. Być może Premier uznał, że nie musi się porozumiewać z elitą humanistyczną, ponieważ nie ma mu ona nic istotnego do powiedzenia, bądź uważa, iż taka rozmowa nie ma znaczenia dla rzeczywistego poparcia społecznego. Jednak w jego postępowaniu dostrzegam także technokratyczną wizję rządu: wystarczy w gabinetach wymyślić program, a następnie porozumieć się z całym społeczeństwem (nie zaś wpraw z adresatami tego programu), by uzyskać legitymizację dla planowanych działań. Nikt przecież nie będzie się awanturował, wielkie emocje z lat 2005–2007 już opadły i wszyscy mają dość dyskusji. Jednak takie działanie może grozić spłaszczaniem społeczeństwa.

Jest jeszcze jedno zagrożenie dla rządu Donalda Tuska, ale także dla każdego kolejnego, który po nim przyjdzie: pięć milionów wyborców PiS-u. Kim są ci ludzie? Jakie mosty przerzucić między ich sprzeciwem wobec naszej rzeczywistości a systemem demokracji liberalnej? Budowanie takich mostów winno być zadaniem partii konserwatywnej, jednak nie ma takiej partii w Polsce. Istniał projekt, który doprowadził Jarosława i Lecha Kaczyńskich do władzy. Jednak z jego realizacji nic nie wyszło. Dzisiaj obaj bracia legitymizują się oporem przeciwko innym oraz pięcioma milionami zwolenników, zorganizowanych wokół sprzeciwu lub poczucia wykluczenia. Co z nimi robić? Żaden rząd nie będzie w stanie długo rządzić, dopóki nie zacznie rozstrzygać tego problemu, ale też żadna polska elita nie będzie dobrze funkcjonować, jeżeli nie zajmie się odpowiedzią na to pytanie. To obecnie kluczowe zadanie.

Ostatnia sprawa, dotycząca wypowiedzi Janusza Czapińskiego. Nikt po 1989 roku nie proponował organizowania społeczeństwa molekuł. III RP była zawsze silnie wspólnotowa. Myślenie wspólnotowe o społeczeństwie – w różnych kostiumach – przeważało nad myśleniem indywidualistycznym. Podobnie jest obecnie. Nie wierzę w ideologię społeczeństwa molekuł. Żadna władza nie może się legitymizować takim projektem. Istnieją, oczywiście, procesy indywidualizacji, ale obok funkcjonują bardzo silne procesy

budowania wspólnot, czego przykładem jest chociażby niesłyszany rozwój lokalnych środowisk, które robią wiele dla zbiorowości: szkoły, pomniki, świetlice. Polska wspólnotowa, nieopisana, istnieje i ma się coraz lepiej. Innym problemem jest zaproponowanie języka opowieści wspólnotowej. To jeszcze nie udało się żadnej formacji intelektualnej i żadnej władzy. Nie jestem jednak pewien, czy stworzenie takiego języka jest zadaniem władzy. To nie ona ma go proponować. Nie potrafiliśmy zatem stworzyć wspólnotowej opowieści, ale mamy realny ruch prowsłotowy.

Piotr Winczorek:

Chciałbym zwrócić uwagę na jeden problem: pomysły zmian ustrojowych, o których wspomina ekipa Donalda Tuska, nawiązują do dawniejszych zamysłów Platformy Obywatelskiej. Jest to ważny problem, ponieważ uważam, że mamy wielki dorobek ostatnich kilkudziesięciu lat (nie tylko związany z przemianami po 1989 roku), dotyczący spraw ustrojowych. Udało się stworzyć kilka na ogół dobrze funkcjonujących instytucji: sądownictwo administracyjne, Trybunał Konstytucyjny, urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Z nowszych – co jest już dorobkiem okresu transformacji – wprowadziliśmy instytucję prezydenta i wybory powszechne. Obecny ich kształt został utwierdzony w uchwalonej przed jedenastu laty Konstytucji. Dużą zasługą obecnego rządu byłaby obrona Konstytucji, a nie próby zmian, których zresztą przeprowadzić nie może, ponieważ nie ma odpowiedniej mocy sprawczej.

Nie uważam oczywiście, aby Konstytucja była aktem danym raz na zawsze ani że powinna przez dziesięciolecia trwać w niezmienionym kształcie. Można i należy wprowadzać zmiany, ale konieczne jest ich solidne uzasadnienie. A jakie propozycje składa PO? Rozumiem, że taniej będzie utrzymywać mniejszą liczbę posłów niż większą, taniej zorganizować państwo z jedną izbą parlamentu niż z dwiema. Jednak są granice tej taniości i czy to właśnie ona ma być wyłącznym argumentem na rzecz zmian? Ich wprowadzenie powinno być podporządkowane szerszej wizji funkcjonowania państwa

i winno posiadać uzasadnienie w solidnych faktach, poświadczających nieskuteczność działania dotychczasowych rozwiązań. Takiego opracowania Platforma Obywatelska dotychczas nie przedstawiła.

Co zatem w dotychczasowych działaniach rządu Donalda Tuska zasługuje na pochwałę, co zaś może być powodem krytyki? Rząd w bardzo stanowczy i skuteczny sposób bronił rozwiązań konstytucyjnych, związanych z trybem ratyfikacji traktatu lizbońskiego. Propozycje składane przez Prawo i Sprawiedliwość oraz prezydenta Lecha Kaczyńskiego były niekonstytucyjne. Byłoby dobrze, gdyby ekipa Donalda Tuska równie stanowczo broniła uprawnień rządu do prowadzenia polityki zagranicznej. Niestety, są one przejmowane przez organ konstytucyjnie do tego nieuprawniony. Konstytucja bardzo jasno określa, kto prowadzi politykę zagraniczną i zawiera umowy międzynarodowe. Nie twierdzę, że prezydent nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie, ale jego uprawnienia są ograniczone. Zdumiały mnie wydarzenia związane z Gruzją. Jak można poważnie prowadzić politykę zagraniczną państwa liczącego się w Europie, jeżeli co innego w tej dziedzinie robi prezydent, a co innego rząd? W tym przypadku wszystkie racje leżą po stronie Donalda Tuska. Powinien on wystąpić w obronie zasad zapisanych w Konstytucji, wedle których rząd ma decydujący głos w sprawach polityki zagranicznej. Wykorzystywanie tych uprawnień nie jest zatem jakąś fanaberią, na zasadzie „bo ja tak chcę”. Sądzę zresztą, że obrona Konstytucji działałaby na jej korzyść, prowadziłaby do umacniania państwa i zwiększała społeczne przywiązanie do legalizmu, a także przynosiła korzyści ekipie kierującej państwem.

Natomiast zdecydowanie negatywnie trzeba ocenić inną propozycję Donalda Tuska, dotyczącą ustroju Polski. Zaproponował on, aby w wyborach ustalano, kto w danym czasie będzie sprawował władzę w państwie: prezydent czy rząd. Takiego rozwiązania nie ma w żadnym znanym mi kraju. Miałyby powstać system, w którym w zależności od wyniku wyborów rządziłby prezydent lub premier razem z rządem. Trudno wyobrazić sobie taki mechanizm. Nie ma przecież wyborów, w których obywatele mogliby oddać głos na prezydenta albo na partię. Jeżeli nawet ktoś zdołałby złożyć

taką łamigłówkę, to powstałoby państwo pozbawione stabilnego ustroju. W zależności od wahań nastrojów wyborczych, nawet niewielkiego przesunięcia się sympatii, dokonywałaby się radykalna zmiana ośrodka władzy!

Powtarzam zatem: warto debatować nad reformą ustroju, ale jednocześnie nie zapominać o dorobku wielu dziesiątków lat, a także zastanawiać się nad przeniesieniem do Polski niektórych doświadczeń ustrojowych zdobytych przez inne społeczeństwa. Natomiast w polityce dnia dzisiejszego czy jutrzejszego konieczna jest stanowcza obrona obecnych rozwiązań konstytucyjnych i uprawnień rządu, które z tych rozwiązań wynikają.

Witold Gadomski:

Dariusz Gawin dowcipnie i chyba dość słusznie zwrócił uwagę na zjawisko, które określił mianem „kredytu hipokryzji”. Jednak nie można nie doceniać szoku, jaki przeżyła spora część społeczeństwa na skutek rządów Prawa i Sprawiedliwości. Wiele osób bało się, nawet jeśli brutalność tego rządu była nieskuteczna. Pokazywanie gotych narzędzi władzy, jak używanie prowokacji dla działań politycznych, wyglądało groźnie. Stąd dzisiejszy kredyt hipokryzji. Jest z tym oczywiście związany problem, zwłaszcza dla dziennikarzy, którzy powinni krytycznie patrzeć na sprawujących władzę. Jednak Platforma Obywatelska jest i będzie przez pewien czas traktowana z taryfą ulgową, bo wciąż gdzieś w tyle głowy pojawia się pytanie: jak nie PO, to kto? Jaka jest alternatywa? Oczywiście, byłoby źle, gdyby rząd Donalda Tuska cały czas korzystał z taryfy ulgowej. Nie wolno zapominać, że prędzej czy później minie szok po rządzie PiS-u.

Kolejna sprawa: państwo polskie od dawna działa źle. Nie ma potrzeby spierać się, od kiedy. Czy od czasów Mieszka I, czy od rządu Tadeusza Mazowieckiego, a może Jerzego Buzka. III Rzeczpospolita była nieskuteczna, podobnie jak IV Rzeczpospolita. Sprawa Krzysztofa Olewnika jest kompromitująca dla III RP, ale także dla IV RP. Niesprawna jest też obecna Rzeczpospolita, obojętnie, jakim liczebnikiem ją obarczymy. Jeżeli zatem dziś

słyszę wezwania do budowania jakiejś wspólnoty Polaków, to odpowiadam: zacznijmy od zbudowania lotniska, którego nie będziemy się wstydzić. A dopiero potem wyznaczmy sobie bardziej ambitne cele. Rozumiem, że w sytuacji, w której państwo permanentnie źle działa, pojawiają się pokusy pójścia na skróty oraz różne propozycje, takie jak Jana Rokity – „szarpnięcia cugłami” lub ostatnio przez niego złożona: wspierania cnoty w życiu publicznym. Niewiele jednak z tych haseł wynika. Każdy rząd wybierał drogę na skróty. Za mało zaś było ciągłości w budowaniu dobrze działających struktur państwa. Niestety, nie widzę, aby rząd Donalda Tuska coś w tej sprawie robił. Nie ma chociażby dyskusji o ustawie o administracji publicznej. Służba cywilna od dawna działała fatalnie, kolejne rządy pod hasłem naprawy jeszcze bardziej ją upolityczniały, wreszcie została całkowicie zdewastowana przez rządy PiS-u. W tej chwili też nie ma budujących przykładów, pokazujących, że jakiś świetny fachowiec niezwiązany z naszą partią może zająć ważne stanowisko. Niepokojące jest również zahamowanie prywatyzacji.

Ocenę obecnego rządu utrudnia również niejasność sytuacji. Michał Boni czy Jacek Rostowski przedstawiają różne ciekawe propozycje. Nie jest to program wielkich zmian, ale projekt spójny i sensowny. Natomiast takich propozycji nie słyszę od Donalda Tuska. Być może Premier woli być arbitrem, dlatego w ogóle nie zabiera głosu w tych sprawach. Dodatkowo w rządzie jest wielu, powiedzmy sobie szczerze, kiepskich ministrów.

Panuje dziś moda, by wszystkie kłopoty tłumaczyć fatalną polityką informacyjną. To nie jest ten problem! Ważne sprawy nie są dyskutowane na forum rządu albo Donald Tusk przywiązuje do nich zbyt małą wagę. Stąd nasz kłopot na przykład z podatkiem liniowym. Czy jego wprowadzenie jest priorytetem tego rządu, czy też nie? Czy zacznie obowiązywać w 2009 roku, czy może w 2010? Jacek Rostowski uspokaja. Mówi: wszystko jest przygotowywane. Jednak tego samego nie słyszę od Premiera. Jeżeli nawet Donald Tusk wspomina coś na ten temat, to traktuje podatek liniowy jedynie jako hasło polityczne.

Andrzej Waśkiewicz:

Podobnie jak wiele innych osób nie potrafię odpowiedzieć na pytanie: jakie cele realizuje rząd Tuska? Jaką ma wizję przyszłości? Czy te rządy będą czasem stabilizacji? Jakie reprezentują interesy społeczne i grupowe? Jednak w pewnym momencie będziemy musieli powiedzieć: „sprawdzam”. Kiedy? Pod koniec pierwszego roku rządzenia obywatel powinien wiedzieć, o co temu rządowi chodzi.

Marek Beylin mówił już o tym, że Prawo i Sprawiedliwość skompromitowało ideę gwałtownego przyspieszenia i mocnej zmiany. Platforma Obywatelska z tego korzysta. Odwołując się do odległej przeszłości, powiedziałbym: wolalbym, aby w naszej opowieści o dzisiejszej Polsce PiS był Trajanem, a PO stało się Hadrianem Polski. Aby PiS, rządząc być może brutalnymi metodami, rozwiązał ważne problemy państwa, a PO następnie dobrze nim administrowało. Jednak nie mieliśmy rządów Trajana, nie mamy też dziś rządów Hadriana.

Uważam także, że niepowstanie koalicji PO PiS w 2005 roku nie było dziełem przypadku. Z upływem czasu widać, że podziały między obiema partiami były głębsze, niż nam się wydawało. Zbliżył je sprzeciw wobec patologii III Rzeczypospolitej, jednak wizje rozwiązania problemów były zupełnie inne. Platforma Obywatelska nigdy nie kwestionowała całego dorobku III RP. Postawiła diagnozę, że było to w miarę normalne państwo, z w miarę normalnymi patologiami, można je zatem usunąć w miarę normalnymi środkami. Natomiast według Prawa i Sprawiedliwości po 1989 roku stworzyliśmy nienormalne państwo. Normalnymi środkami nie można go naprawić, dlatego też należy stworzyć państwo od nowa. Były to różne opowieści o przeszłości, zatem obie partie inaczej mówią o przyszłości.

Nie przypadkiem też Platforma Obywatelska tak znacząco wygrała wybory w 2007 roku. Gdyby swoje zwycięstwo zawdzięczała jedynie pospolitemu ruszeniu młodzieży – jak uważają niektórzy – to dziś nie byłaby tak wysoko notowana w sondażach. Nie sądzę też, by uwiodła kogoś swymi obietnicami wyborczymi – przecież ich nie wypełnia, a poparcie się utrzymuje.

Decydujący jest styl rządzenia. Odpowiada on oczekiwaniom Polaków. Nie pragną oni być może tego, co dziś nazywa się postpolityką, ale chcą miękkiej technokracji okraszonej moralizatorstwem. Rząd Donalda Tuska snuje opowieść o polityce, której istotą jest rozwiązywanie problemów (podkreślam: nie rozwiązanie, lecz rozwiązywanie). Przyjęta retoryka ukrywa równocześnie wiele spraw, na przykład brak instytucji przedstawicielstwa. Jeżeli chcielibyśmy obecnie zobrazować pojęcie „przedstawicielstwa”, to musielibyśmy pokazać pielęgniarkę pod URM-em wołającą: „Niech ktoś do nas wyjdzie i nas wysłucha!”. Zanikł język, ale zanikła także instytucja reprezentacji w polityce. Paradoksalnie, społeczeństwo z tym faktem już się pogodziło. Nie oczekuje od polityków, by reprezentowali jego interesy. Wystarczy, by w miarę sensownie zarządzili.

Co w tym przypadku znaczy „sensownie”? Bez afer. Kolejne rządy nie traciły poparcia z powodu niewypełnienia obietnic wyborczych, złożonych poszczególnym grupom społecznym, lecz w wyniku kompromitacji. W polskiej polityce nie ma już wydarzeń, są afery.

Obecna sytuacja nie wymaga wprowadzania szybkich zmian. Można je przeprowadzać „krocząco”, bez pośpiechu. Jeżeli nie dojdzie do większych skandali, to ten rząd utrzyma legitymizację społeczną. Moim zdaniem niezastąpienie, ponieważ rząd powinien jednak rządzić, a obecnie nie wyszedł poza stadium administracji słowem. *Nota bene* dlatego też bardzo groźny jest brak języka reprezentacji. Operuje się pojęciami „wspólnego dobra” czy „narodowego interesu”, ale jest to jedynie zastona dymna dla różnego rodzaju *lobbies*, które w ten sposób mogą realizować po cichu własne interesy.

Marek Borowski:

Obserwowałem ewolucję Platformy Obywatelskiej, jej sposób dochodzenia do władzy, formowanie rządu, wreszcie sposób sprawowania władzy – i podobnie jak inni mam kłopot z uchwyceniem programu PO. Nie tak dawno Jan Rokita przygotował wielki plan przyszłego rządu, bardzo szczegółowy. Mówiono nawet o konkretnych kandydatach na stanowiska

ministrów. Obecnie nie tylko niewiele pozostało z tych planów, ale nawet Rokita wycofał się z Platformy. Można przedstawiać różne opinie, dlaczego tak właśnie się stało. Być może Donald Tusk nie mógł tolerować istnienia obok siebie drugiego lidera, i to pragnącego zostać premierem. Odsunął Jana Rokitę, ale także jego program odłożył na półkę. W tej sytuacji jednak szybko trzeba było zacząć od nowa kleić program partii.

Pośpiech i brak przygotowania do rządzenia dobrze widać na przykładzie reformy służby zdrowia. W maju 2007 roku w programie Platformy Obywatelskiej pojawił się niewielki zapis o konieczności przeprowadzenia prywatyzacji szpitali. Po kilku miesiącach, już przed wyborami parlamentarnymi, powtórzono większość założeń programowych, ale w przypadku służby zdrowia pojawiły się całkowicie inne propozycje. W bardzo krótkim okresie nastąpiła poważna zmiana programowa (a także osobowa). Widać było ewolucję Donalda Tuska od twardego liberalizmu w kierunku centrum, a nawet pojawiły się pewne elementy lewicowe.

Wreszcie doszło do wyborów parlamentarnych. Wygrała Platforma Obywatelska, a Prawo i Sprawiedliwość odsunięto od władzy. I co się stało? Zapanowała ogólnie miła, sympatyczna atmosfera. Przyznam, że mnie także się ona udzieliła. Jestem względnie zadowolony. Nie denerwuję się, jak to miało miejsce za rządów partii Jarosława Kaczyńskiego. Nie obgryzam paznokci, patrząc na poczynania władzy. Jednak widzę niebezpieczne zjawisko, które nazwałbym bierną komercjalizacją państwa.

Popatrzmy na dwie sfery: służbę zdrowia oraz edukację szkolną i wyższą. Pojawili się nowi ministrowie (nie zaś osoby, które wcześniej typowano na te stanowiska), zaczęli przedstawiać swoje pomysły, niektóre nawet wdrażać, by po chwili się z nich wycofywać. Nie można dostrzec jakiegoś spójnego, dalekosiężnego planu. Najpierw pojawiła się zapowiedź: nie będziemy sięgać do kieszeni obywateli, nie ma mowy o dodatkowych składkach na służbę zdrowia. Po jakimś czasie okazuje się, że jednak dodatkowa składka będzie, ale od 2010 roku. To zresztą jest częsta taktyka Platformy Obywatelskiej: jeżeli nie ma pomysłu na rozwiązanie jakiegoś problemu, to podjęcie decyzji odsuwa na później. I przy okazji można ogłaszać deklaracje, na przykład

taką, że poziom nakładów na naukę osiągnie 2 procent PKB w 2013 roku. W jaki sposób ma się to dokonać, tego już nie wiemy.

W obu przypadkach do przeprowadzenia reform potrzebne są spore nakłady środków. Tych pieniędzy nie ma. Jednocześnie jest kontynuowana neoliberalna polityka poprzedniego rządu. Nadal stosuje się obniżkę tzw. danin publicznych. Najpierw był drugi etap obniżki składki rentowej, przeciwko której występował nawet Stanisław Gomułka. Już pierwszy jej etap – pod rządami PiS-u – pozbawił budżet 22 miliardów złotych! W roku 2009 zostaną obniżone stawki podatku PIT. To oznacza ubytek kolejnych 8–10 miliardów złotych. Przypomnę też, że wciąż mówi się o wprowadzeniu podatku liniowego.

Nie uda się wyciągnąć Polski z cywilizacyjnego zacofania bez odpowiednich środków. Skąd je wziąć? Z funduszy prywatnych? Z kieszeni obywateli? W tym przypadku nie można liczyć na jakieś kapitały zagraniczne. Trzeba mobilizować środki własne, bo bez nich nie uda się zbudować gospodarki opartej na wiedzy, a to obecnie jest niezbędne. Za dziesięć, góra piętnaście lat nie będziemy już konkurencyjnym krajem, bo wzrosną koszty pracy. Już teraz musimy szukać dla siebie innej szansy.

Donald Tusk wiele się ostatnio nauczył. Nie eksponuje już swoich skrajnie liberalnych poglądów (aż dziw, że – jako człowiek inteligentny – w ogóle je głosił), nawet oświadczył publicznie, że z wielu się wycofał. Co jednak robi? Są dziedziny, które wymagają dofinansowania ze środków publicznych, bez tego wkładu będzie postępować ich degradacja, w końcu znajdą się w koszmarnym stanie. Wówczas nie tylko Premier, ale też wiele innych osób powie: nie ma wyjścia, konieczna jest prywatyzacja, bo tylko kapitał prywatny może tu pomóc. W przeciwnym razie obywatele sami będą musieli za wszystko płacić, bo w budżecie państwa nie ma środków na reformę. Ten proces nazywam bierną komercjalizacją, w odróżnieniu od czynnej, głoszonej wcześniej przez liberałów i uzasadnianej przez nich teoretycznie. Teraz już nie ma potrzeby szukania dodatkowych wyjaśnień.

Poza tym przez cały czas mamy do czynienia z dość osobliwą strategią: ogłasza się jakiś pomysł i niemal natychmiast się z niego wycofuje. Przykład:

Jolanta Fedak, minister pracy i polityki społecznej, wspomniała o problemie podwyższenia wieku emerytalnego kobiet. Rozległy się głosy oburzenia – i za chwilę padło *dementi*, ogłoszono, że zaszło nieporozumienie. Podobnie było w innych przypadkach.

Jednak rząd Donalda Tuska wciąż cieszy się poparciem, a taktyka uników nie przynosi mu szkody. Dlaczego tak się dzieje? Mamy czas dobrej koniunktury gospodarczej, pomagają środki unijne, wysoki wzrost gospodarczy, postępujący spadek bezrobocia. To wszystko sprawia, że nie ma nastroju buntu, nikomu nie chce się wychodzić na ulice i demonstrować. Co się jednak stanie, jeżeli sytuacja gospodarcza ulegnie pogorszeniu? Już w następnym roku będzie niższe tempo wzrostu, zaczną się ujawniać różnego rodzaju problemy. Dodatkowo zbliżają się wybory prezydenckie, a następnie parlamentarne. Nie będzie to czas sprzyjający wprowadzaniu programów naprawczych.

Obawiam się, że beneficjentem trudnej sytuacji zostanie Prawo i Sprawiedliwość. Musi zostać spełniony jeden warunek: częściowa reforma tej partii. Nie wiem, czy jest to możliwe pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego. Być może pojawią się inni ludzie. PiS nadal będzie przedstawiał narodowo-socjalną twarz, ale w mniej radykalny sposób. W tej partii jest przecież sporo ludzi z doświadczeniem, przygotowanych do rządzenia.

Pozostaje też lewica, obecnie bardzo słaba. Nie jest ona alternatywą dla rządzących, nie przyciąga wyborców. Jej słabość wpływa zresztą na dzisiejszą siłę Platformy Obywatelskiej. A czy może stać się jakąś kontrpropozycją wobec PO? Na pewno, jeżeli odwoła się do kwestii przypisanych lewicy: świeckości państwa i praw kobiet. To obszar, na który nie wkroczy Donald Tusk. To jednak za mało. We wszystkich innych sprawach lewica musi być profesjonalna. Obecnie wyborcy unikają skrajności. Pyta się raczej: czy można komuś zaufać, czy nie? Czy potrafi coś zrobić, czy nie? Czy ma kwalifikacje, czy nie? Niekoniecznie lewica we wszystkich sprawach musi się ideowo odróżniać od innych partii. Wystarczy przedstawiać lepsze, bardziej wiarygodne i profesjonalne rozwiązania polskich problemów. Tylko w takiej sytuacji mamy szansę na powstanie trzech konkurencyjnych bloków politycznych.

Jarosław Flis:

Sławomir Sierakowski powiedział – podobna myśl pojawia się w wielu polskich mediach – że wybory parlamentarne w październiku 2007 roku były walką Polaków zadowolonych z niezadowolonymi. I ci pierwsi oczywiście wygrali. Sądzę jednak, że to tylko drobny fragment większej opowieści o powodach wyborów dokonywanych wówczas przez Polaków. Weźmy za przykład trzy jednostki administracyjne: Wilanów, Wałbrzych i powiat gołdapski. Gdzie największe poparcie uzyskało Prawo i Sprawiedliwość? W Wilanowie. W powiecie gołdapskim Platforma Obywatelska zdobyła poparcie w wysokości 44 procent (tyle samo dwa lata temu wynosiła tam stopa bezrobocia). Inne przykłady. PiS wygrał w podkrakowskich Niepołomicach, w których działają fabryki Manna i Coca-Coli. Trudno uznać, że jest to obszar wykluczenia społecznego. Z kolei PO zdecydowanie zwyciężyło w Nowogrodku Pomorskim czy Starym Czarnowie, miejscowościach, które mogą być doskonałym przykładem biedy i wykluczenia w III RP.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego Platforma Obywatelska zdobyła poparcie wśród osób, które – wedle wspomnianej hipotezy – powinny raczej dokonać innego wyboru? Kluczem do sukcesu okazało się odpowiednie usytuowanie na scenie politycznej. Donald Tusk wiele się nauczył w latach 2005–2007. Wybrał miejsce, które daje mu wysokie notowania, przede wszystkim dzięki wspólnemu wysiłkowi Jarosława Kaczyńskiego i Wojciecha Olejniczaka z Grzegorzem Napieralskim. Ich słabości i ich hipoteki – obciążone niepotrzebnymi konfliktami oraz przeszłymi kryzysami – odpychają wyborców, którzy trafiają w ramiona Platformy.

Jest jeszcze jeden ważny element, o którym warto pamiętać. Peter Drucker zauważył, że każda organizacja działa tak źle, jak może sobie na to pozwolić. Obecna sytuacja na scenie politycznej stwarza bardzo korzystne warunki dla Platformy Obywatelskiej. Wobec braku alternatywy widoczne jest rozprzężenie rządzących. Dodatkowo, jeżeli nawet pojawiają się w tej partii napięcia czy spory, to wciąż daleko do gwałtownego tąpnięcia.

Donald Tusk w minionych latach bardzo dobrze opanował prowadzenie rozgrywek wewnątrz partii. Tyle że ta umiejętność dotyczy rozgrywek w partiach, jakie znamy. W Polsce zaś mamy do czynienia ze skrajnie patologicznymi strukturami partyjnymi. Nasza demokracja od zewnątrz wygląda całkiem znośnie, natomiast z punktu widzenia obywatela sytuacja jest rozpaczliwa. Partie polityczne *de facto* nie istnieją jako struktury pośredniczące między rządzonymi a rządzącymi. Nie są elementem komunikacji społecznej ani nie służą budowaniu programów. Jedynym ich zajęciem są rozgrywki wewnętrzne, wzajemne podgryzanie kolejnych subliderów.

Wielokrotnie już tu wspomniano o słabości Donalda Tuska w sferze, którą można nazwać *policy* (w odróżnieniu od *politics* – tu jest najlepszy wśród naszych polityków). Niektórzy, jak Witold Gadomski, mówią, że jest to jego świadomy wybór. Ja tak nie sądzę. Nieobecność czy słabość *policy* wynika ze stanu partii politycznej jako zaplecza. Tusk jest tego świadomy, co najwyżej racjonalizuje własną słabość. Dlaczego zatem nie próbuje zbudować silnej partii politycznej? Jarosław Kaczyński próbował stworzyć zhierarchizowaną strukturę, będącą w stanie prowadzić politykę i narzucać jej kierunek. Poniósł klęskę. Być może dlatego Donald Tusk nie podejmuje takiej próby. Pozostaje tylko jedno pytanie: co się stanie, kiedy nie będzie można prowadzić polityki w ten sposób?

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Powiada się, że generałowie zazwyczaj toczą poprzednie wojny. Gdyby Jarosław Kaczyński w 2005 roku zdobył poparcie takich grup społecznych jak w 2007 roku, to otrzymałby 260 mandatów i rządziłby przez cztery lata. Podobnie, gdyby Platforma Obywatelska w 2005 roku tak dobrze spozycjonowała swoje miejsce na scenie politycznej jak w ostatnich wyborach, to też by rządziła. A jak będzie w przypadku kolejnych wyborów?

Agnieszka Graff:

Chciałam zacząć dość efektownie, zwracając uwagę na nieobecność w tej dyskusji jednego ważnego słowa zaczynającego się na „k”. Przy czym

nie miałam na myśli słowa „kobiety”, lecz słowo „Kościół”. Jednak ubiegł mnie Marek Borowski. Mimo wszystko pozwolę sobie wrócić do tego problemu, ponieważ rola odgrywana przez Kościół katolicki w Polsce ma zasadniczy wpływ na kształt strategii politycznej PO. Połączenie liberalizmu w sferze ekonomicznej z uległością wobec hierarchii Kościoła w sferze wartości (postawa zwana czasem „konserwatywnym liberalizmem”) daje w efekcie wspomnianą tu „postpolityczność”, „antypolityczność”, „mglistość”, a nawet „banalność” dyskursu Platformy.

Dominującym elementem w dyskursie PO jest pochwała normalności, za którą kryje się miękki thatcheryzm, ale jest w nim także obecny element konserwatywny, a zarazem konformistyczny. Od wielu lat funkcjonuje w Polsce podział na fachowość w sferze ekonomicznej, która jest domeną władzy, oraz na sferę wartości i idei, która stanowi domenę Kościoła. Ten podział jest tak oczywisty, że w ogóle go nie zauważamy. Rzadko też widzimy jego ideologiczny wymiar oraz polityczne konsekwencje. Problem polega na tym, że w Polsce Kościół nie tylko mówi o etyce, tożsamości i wartościach do swoich wyznawców, lecz także decyduje, jakie są polskie wartości narodowe, i na tej podstawie określa odrębność Polski w Unii Europejskiej. Politycy PO godzą się na to jako na oczywistość, bo z góry wiadomo, że sfera „wartości” jest w rękach Episkopatu.

PiS robił oczywiście to samo, ale w bardziej wyrazisty sposób, co miało tę zaletę, że łatwiej było o sprzeciw. Nie tak dawno wielkie poruszenie wywołało zdjęcie ze ślubu dwóch gejów – zostało pokazane w orędziu Prezydenta i miało stanowić dowód na nieprzystawalność unijnej wizji równości do polskiej kultury. Przekaz był jasny – w katolickiej Polsce na to nie pozwolimy. Ciekawe, że w Holandii inną fotografię – homoseksualnej pary całującej się na łące – pokazuje się imigrantom. Tak sprawdza się postawy wobec odmienności i zgodności z systemem wartości Unii Europejskiej – reakcja homofobiczna działa na niekorzyść imigranta.

Dlaczego o tym wspominam? Bo tu toczy się ważna debata o tożsamości narodowej i tożsamości europejskiej. Stosunek do odmienności jest we współczesnej Europie ważnym znakiem tożsamości narodowej, splecionej

z tożsamością religijną. Rzecz w tym, że Polska w ciągu ostatnich kilku lat bardzo konsekwentnie podkreśla swoją opozycję wobec nowoczesnej wizji seksualności i wobec równości praw, czyniąc z tego stanowiska swój wyróżnik w Europie. W naszym imieniu – w imieniu Polaków – mówi się niemal automatycznie językiem kościelnym. Ten opozycyjny dyskurs był silnie obecny podczas rządów Prawa i Sprawiedliwości. To samo powtarza Platforma Obywatelska. Zmienił się jedynie sposób. Robi to miękko, unikając wyrazistych, ideologicznych wypowiedzi. Moim zdaniem ta miękkość, rzekoma apolityczność, tylko utrudnia debatę. Tu nie ma oczywistości – tu jest realny podział i powinien się odbywać otwarty spór światopoglądowy.

Mówiono tu już o strategii PO, polegającej na składaniu deklaracji, a następnie na szybkim wycofywaniu się, jeżeli tylko pojawią się, nawet niewielkie, głosy sprzeciwu. Doskonałym przykładem tej strategii w sferze relacji państwo – Kościół jest sprawa zapłodnienia *in vitro*. Najpierw pojawiła się zapowiedź minister zdrowia, że zabieg ten będzie refundowany. Przeciwno temu pomysłowi bardzo ostro wypowiedzieli się biskupi. I co zrobił rząd? Ogłosił czym prędzej, że refundacja nie będzie możliwa z powodu... braku środków finansowych. Rząd wycofał się z obietnicy wobec znacznej grupy obywateli i podatników jakoby z ekonomicznych powodów, ale prawda jest taka, że Kościół osiągnął to, czego się domagał. Sfera wartości pozostała nienaruszona w jego rękach. Spór się nie odbył, została mglista i apolityczna „oczywistość”.

Co ciekawe, jednocześnie ten sam Kościół zaczyna pogrążyć się w kryzysie. Piszą na ten temat nie tylko tacy publicyści, jak Mirosław Czech, ale także osoby o konserwatywnych poglądach, by wymienić jedynie Tomasza Terlikowskiego. Problemy lustracyjne arcybiskupa Stanisława Wielgusa, skandale na tle seksualnym (jak przypadek arcybiskupa Juliusza Paetza), antysemickie *tournée* Jerzego Roberta Nowaka – wszystkie te wydarzenia powodują, że Kościół na naszych oczach traci wiarygodność jako monopolista w sferze moralnej, jako specjalista od wartości. PO zdaje się tego nie zauważać.

Wiele osób sądzi, że w sferze politycznej nie ma już miejsca na ideowość, może nawet na idealizm. Mam nadzieję, że tak nie jest. Kampania wyborcza Baracka Obamy wprowadziła do amerykańskiej polityki rodzaj niestychnanie potrzebnego napięcia ideowego. Myślę, że w Polsce jest szansa na podobny świecki patriotyzm, na zbiorowy entuzjazm, na przejście od myślenia molekularnego do myślenia wspólnotowego (co nie znaczy, że nacjonalistycznego). Nie uważam też, aby Kościół katolicki był jedyną instytucją w Polsce predestynowaną do mówienia o wartościach, o dobru wspólnym. Utrzymywanie tej paraliżującej fikcji to jeden z głównych grzechów PO. Liczę, że pojawi się coraz więcej głosów, które będą mówić na temat polskości z pozycji niekościelnych, co nie znaczy antyklerykalnych lub antykościelnych.

Stanisław Obirek:

Chciałem także powiedzieć kilka słów o Kościele katolickim. Krótko. Odwołam się do książki Barbary Stanosz *W cieniu Kościoła czyli Demokracja po polsku*⁴, której autorka trafnie diagnozuje miejsce Kościoła katolickiego w okresie przemian ustrojowych po 1989 roku. Powrót *sacrum* czy też religii do sfery publicznej może przynosić dobre skutki. Jednak nie zawsze tak się dzieje, może bowiem przyczyniać się do ograniczania lub psucia się systemu demokratycznego. Dobrymi przykładami są Izrael, ale także Stany Zjednoczone pod rządami George'a W. Busha. W Polsce ten powrót religii przybrał trochę groteskową formę. Jeżeli już tak często wspominaliśmy tu o przegranych polskiej transformacji, to warto wspomnieć także o zwycięzcach. Bezsprzecznie zwycięzcą jest Kościół, który mimo zmieniających się ekip politycznych zawsze dobrze wygrywał swoje interesy. Więcej, został uznany za element stabilizujący cały system. Niepokojące jest to, że jednocześnie w ramach Kościoła doszło do legitymizacji dyskursu marginalnego, wręcz obraźliwego dla demokracji. I bardzo przyczynili się do tego politycy. Dlatego też mocno zaniepokoiły mnie starania Donalda Tuska, by wystąpić w radiu księdza Tadeusza Rydzyka, nawet jeżeli działa się to w czasie

⁴ Barbara Stanosz, *W cieniu Kościoła czyli Demokracja po polsku*, Warszawa 2004.

kampanii wyborczej. To był bardzo zły sygnał. Potem nastąpiły inne niepokojące działania obecnego rządu. Wszystko to prowadzi do sytuacji, w której polska demokracja znajduje się w cieniu, a nie w blasku Kościoła.

Wojciech Duda:

Słuchając dotychczasowych wypowiedzi, odnoszę wrażenie, że największym problemem jest sam Donald Tusk. Padały tu stwierdzenia: „Tusk enigmatyczny”, „Tusk milczący”. Tymczasem mamy niejedno świadectwo zaprzeczające tym ocenom. Myślę tu zarówno o jego wypowiedziach, jak i wielorakich poczynaniach wpierw jako lidera PO, dzisiaj zaś jako premiera. W słowniku politycznym Tuska wysuwają się obecnie na czoło: sprawa bezpieczeństwa (najszerzej rozumianego), dalej – kwestia odbudowy i wzmocnienia wspólnoty politycznej (opartej na fundamencie wolności i tradycji), wreszcie – państwo jako przestrzeń władzy i swobodnych działań społecznych. Mówiąc w największym skrócie: Tusk odrzuca politykę rewolucyjną, promującą określoną wizję ideologiczną. W tym sensie na pewno nie jest politykiem misyjnym. Zamiast rewolucji proponuje odbudowę zaufania. Mówi o tym zresztą od dawna. Proszę zwrócić uwagę na jego hasło „przyjazne państwo”. Przywołam też inne: „Europa w Polsce”. To nie tylko retoryczne zwroty – mówi on tu o nienazwanej rewolucji, o małym spektakularnych inicjatywach, które będą zmianą standardów, przepisów, norm; mówi o przeniesieniu i zakorzenieniu w naszym kraju europejskich procedur oraz reguł postępowania w administracji państwowej i samorządowej.

Donald Tusk nie jest ideologiem ani przedstawicielem partii posiadającej odpowiedzi na wszystkie bolączki tego świata. Nie stawia sobie za cel przebudowywania społeczeństwa. Wyciągnął wielorakie wnioski z doświadczeń lat 90. Nie mówi więc, jak Margaret Thatcher, że społeczeństwo składa się z jednostek i ich rodzin. Przemyslenie owych doświadczeń podpowiada mu wagę i znaczenie procesów wspólnotowych. Z perspektywy Warszawy trudno dostrzec wiele spraw. Jest Polska nieopisana. Tusk poznawał ją, przemierzając

podczas kampanii wyborczej blisko 200 powiatów. To cenny kapitał, który zmuszał go do nieustannej modyfikacji własnego języka i postępowania.

W dyskusjach o charakterze rządów Donalda Tuska bywa przywoływana (m.in. przez Aleksandra Smolara) triada Leszka Kołakowskiego, który mówił o konserwatywno-liberalnym socjalizmie. Jak wiemy, można dokonać intelektualnej syntezy tych trzech porządków, ale jest problem z przełożeniem tej syntezy na praktykę polityczną. Sądzę, że projekt ideowy, który wiązałbym z osobą Premiera, wykracza poza dotychczas uznane schematy, nurty i kategorie. Spotykają się w tym projekcie różne tradycje i style. Tytułem przykładu: z jednej strony mamy ideę silnego, lecz ograniczonego państwa, z drugiej – ideę wolnego wyboru, na którego straży stoją wartości moralne, zakorzenione w sumieniu każdego obywatela.

Zwróciłbym uwagę na jeszcze jedną kwestię, a mianowicie na kruchość kapitału społecznego w Polsce, który wymaga nie tylko dostrzeżenia i opisu, ale również wyciągnięcia wniosków. Trzeba sprawić, aby obywatele chcieli i potrafili zagospodarowywać ogromną przestrzeń społeczną, zwłaszcza im najbliższą: osiedla, miasta *etc.* Wymaga to na pewno pewnego dobrostanu. Jeśli widać niedostatek owych działań, to być może państwo w ograniczonym zakresie potrafiłoby wypełnić funkcję służebną wobec wielorakich potrzeb różnych wspólnot, ale ich nie zastąpi.

Mówiąc o ewentualnym cudzie gospodarczym, najczęściej odwołujemy się do dwóch przykładów, niejednokrotnie już opisanych w polskiej debacie publicznej – są to cud niemiecki po 1945 roku i niedawny cud irlandzki. Oba, choć różniące się w wielu aspektach, miały jedną wspólną cechę: wysoki poziom porozumienia społecznego oraz wzajemnego zaufania.

I ostatnia sprawa. W wielu wypowiedziach podkreślano potrzebę wielkich zmian, reform, mówiono o deficycie reformatorskiego zapłału. Jednocześnie doświadczenie ubiegłych lat podpowiada lekcję pokory i cierpliwości. Ani Donald Tusk, ani partia, której przewodzi, nie są pomnikami odlanymi ze spizu i niepodlegającymi zmianom. Mam wrażenie, że to może być jeden z nieopisanych dotąd atutów tego gabinetu.

Michał Boni:

W dotychczasowej dyskusji padło spostrzeżenie, bardzo istotne dla uprawiania we współczesnej Polsce polityki: nastąpił koniec transformacji. Należy uświadomić sobie konsekwencje – społeczne, polityczne, kulturowe i wszystkie inne – stanu „sieroctwa”, w którym się znaleźliśmy. Nie mamy już projektu cywilizacyjnego, który powstawał w 1989 roku i organizował główną część dyskursu publicznego. Jego główne cele – członkostwo w NATO i Unii Europejskiej – zostały zrealizowane. Kolejny projekt cywilizacyjny – IV Rzeczpospolita – był chybiony. To niepowodzenie nie oznacza, że nie powinniśmy szukać nowego projektu.

Istotną przesłanką są także wyniki wyborów parlamentarnych w 2005 roku, niezależnie od tego, jakie były ich polityczne następstwa. Mocno wówczas ujawniły się głosy tych, którzy czuli się wygranymi, ale także przegranych w procesie transformacji. O jednych, a zwłaszcza o drugich nie wolno zapomnieć. Biorąc pod uwagę oba elementy – zakończenie procesu transformacji i wyniki poprzednich wyborów – sądzę, że obecnie mamy pierwszy normalny, potransformacyjny rząd w Polsce.

W dyskusji pojawiło się także napięcie między dwiema koncepcjami, dobrze już obecnymi w dyskursie publicznym. Według pierwszej z nich – a są to głosy zarówno prawicowych publicystów, jak i, na przykład, Leszka Balcerowicza – znaleźliśmy się w stanie wielkiej pustki reformatorskiej, podczas gdy Polska oczekuje radykalnych zmian. Można odnieść wrażenie, że stoimy na skraju jakiejś przepaści albo powtarza się sytuacja z 1989 roku. Tymczasem, moim zdaniem, mamy do czynienia z mitologizacją reform. Jeżeli przyjrzymy się chociażby projektowi zrównoważenia finansów publicznych, to okaże się, że wiele elementów planowanych reform wiąże się z problemem zarządzania. Źle zarządzany jest majątek polskiego wojska; wydatki rządu 1,95 procent PKB na obronę w dzisiejszej Polsce – moim zdaniem – nie są potrzebne. Źle zarządzane są lasy polskie i olbrzymi majątek PKP. Podobnych miejsc jest wiele. Trzeba je identyfikować, a następnie układać realną, a nie wymagowaną listę koniecznych zmian. Według

drugiej koncepcji podstawowym problemem jest wielka bieda i grozi nam gwałtowny wybuch społeczny.

Sądzę jednak, że powinna znaleźć się przestrzeń między ową wielką pustką reformatorską a groźbą wielkiego wybuchu. Nie jest ona – co pokazuje także ta dyskusja – do końca określona. Janusz Czapiński, mówiąc o Polsce „molekularnej”, zwrócił uwagę na bardzo ważny problem sukcesu indywidualnego, nadmiaru indywidualizmu, zwycięstwa inwestycji w kapitał ludzki; ukazał też słabości Polski „wspólnotowej” i kapitału społecznego. Przy czym nie chodzi o wspólnotowość związaną z uroczystościami państwowymi, flagami i sztandarami, lecz o zdolność do współpracy na wielu poziomach – tego nam bardzo brakuje. Niezmiernie istotny jest także problem przewagi kapitału indywidualnego nad kapitałem społecznym oraz nieprzekładania się sukcesu odnoszonego w pierwszym obszarze na drugi. To bardzo ważna przesłanka dla myślenia o przyszłości kraju.

Podczas dyskusji mówiono także o roli mediów i o dużym poparciu dla rządu Donalda Tuska. Czy tak jest naprawdę, to inna sprawa. Jednak nie ten spór jest dla mnie istotny. Obecnie media dezorganizują pracę. Stworzyła się niebezpieczna zależność: zaczyna się myśleć przede wszystkim o tym, jaka może być reakcja na różne propozycje, nie zaś na głębszą koncepcję programową. Ważny jest również problem rozpadu języka dyskusji publicznej i, co za tym idzie, sposób komunikacji z obywatelami. W polityce, ale także we wprowadzaniu zmian ekonomicznych, istotna jest umiejętność zarządzania lękiem i szansami. Jeśli chce się przebudować firmę, dokonać jej reformy, to stara się powiedzieć coś o korzyściach, jakie odniosą jej pracownicy, a nie straszy się ich zmianami. Dlaczego zatem zarządzanie państwem miałoby rozpoczynać się od opowiadania obywatelom o groźbie wielkiej reformy, odbieraniu uprawnień itd.? Dlaczego państwem mamy zarządzać w inny sposób niż dobrą firmą? Dlaczego nie mamy poszukiwać sojuszników dla przeprowadzenia określonych zmian? Rozumiem rewolucyjny romantyzm reformatorów, ale sądzę, że droga „małych kroków” lepiej służy dobremu zarządzaniu państwem.

Musimy brać też pod uwagę skuteczność naszych działań. W obecnej sytuacji, przy stanowisku Prezydenta, który zapowiada weto w wielu sprawach, jest ona ograniczona. Dodatkowo na linii rząd prezydencki – kancelaria premiera pojawiają się nowe problemy. Tylko jeden przykład: czy można było przypuszczać, że będą trudności z ratyfikacją traktatu lizbońskiego? A jednak się pojawiły, i ta sprawa zajmuje kolejne tygodnie.

Kolejna kwestia to zjawisko określone m.in. przez Jacka Żakowskiego jako „fragmentacja” rządu. Moim zdaniem z tym problemem mamy do czynienia od kilkunastu lat. Moje doświadczenie pierwszych miesięcy pracy w rządzie – a tak samo mówi wiele osób, które obejmowały podobne funkcje – to niesprawność administracji. Odpowiedzialny za to nie jest ten rząd – winę ponoszą lata zapóźnień oraz braku pracy nad nowoczesnymi mechanizmami zarządzania. Przywołam tylko jedno doświadczenie. Podlega mi zespół do spraw reemigracji, powołany na początku rządów Prawa i Sprawiedliwości na fali mówienia o problemie wyjazdów młodych Polaków za granicę. Jednak do końca rządów PiS-u ten zespół spotkał się jeden raz. Od początku lutego tego roku zacząłem regularnie zwotywać jego posiedzenia i mam nadzieję, że wkrótce będą pierwsze efekty tej pracy. Podkreślam: wprowadzenie zarządzania projektami jest istotnym elementem rządzenia. Staram się chociażby częściowo wprowadzić to zarządzanie do pracy rządu Donalda Tuska, bo chciałbym, aby powstał nowy sposób kierowania pracami nad budową infrastruktury, autostrad, dróg itd.

Wrócę jeszcze do wyzwań związanych z końcem projektu transformacyjnego. Dzisiaj głównym wyzwaniem jest identyfikowanie najważniejszych problemów w dłuższej, strategicznej perspektywie, a większość tych problemów nie znajduje prymarnego miejsca w dyskursie publicznym. Dlatego kierowany przeze mnie Zespół Doradców Strategicznych Premiera pracuje nad projektem Polska 2030, który identyfikuje długofalowe priorytety rozwojowe Polski. Wymienię jedynie kilka.

Po pierwsze, dla rozwoju i wzrostu gospodarczego Polski potrzebny jest wzrost zatrudnienia. To jeden z najważniejszych czynników. Rząd ogłosił program „50+”. Media pisały na ten temat, ale nie doszło do poważnej

publicznej debaty. Nie dyskutowano ani nad samym problemem, ani nad konsekwencjami ewentualnych decyzji, na przykład ograniczenia prawa do przechodzenia na wcześniejsze emerytury.

Po drugie, wielkie wyzwanie demograficzne. Stoimy przed problemem połączenia polityki wspierania rodziny – także poprzez łączenie funkcji zawodowych z wychowawczymi – z nowymi rozwiązaniami w opiece nad osobami starszymi.

Po trzecie, o czym mówił Marek Borowski, jeżeli chcemy budować konkurencyjność przyszłej Polski, to dzisiaj musimy unowocześnić edukację, szkolnictwo wyższe oraz sposób funkcjonowania nauki. Tylko w ten sposób zwiększymy kapitał intelektualny. Cieszyłbym się, gdyby Polska w 2013 roku miała 2 procent nakładów budżetowych na samą naukę. Jednak dziś można tylko powiedzieć, że taka kwota będzie przeznaczona łącznie na naukę i szkolnictwo wyższe. Zauważmy, że w wielu krajach zaobserwowano następujące zjawisko: jeżeli nakłady publiczne na naukę sięgają poziomu 0,6–0,8 procent PKB, to pojawiają się środki pochodzące z biznesu. Można liczyć, że podobnie będzie w Polsce.

Po czwarte, bezpieczeństwo energetyczne. Rząd planuje, że dzięki inwestycjom oraz współpracy polskich ośrodków naukowych uda się do 2025 roku wprowadzić nowe rozwiązania technologiczne (nowe źródła energii, gazyfikacja węgla itd.) i tym samym zdołamy zapewnić realne bezpieczeństwo energetyczne Polski.

Wszystkie te kwestie – wzrost zatrudnienia, wyzwania demograficzne, przyszły potencjał konkurencyjności – giną jednak w medialnym szumie. Wydobywane są za to sprawy o mniejszym znaczeniu. Chociażby burza wokół nowej listy lektur. Podczas gdy o wiele istotniejsze są inne przygotowywane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej zmiany: nauka języka obcego od pierwszej klasy szkoły podstawowej, język obcy zdawany obowiązkowo na maturze, poprawa nauczania matematyki i nauk eksperymentalnych.

Lista wyzwań jest, oczywiście, większa. Chociażby problem infrastruktury, w tym infrastruktury internetowej. Pracujemy nad uzyskaniem efektu synergii, jaki można osiągnąć dzięki umiejętnemu wydatkowaniu

czterech i pół miliarda euro przeznaczonych na informatyzację w różnych dziedzinach. Kierowanie tych środków według tradycyjnych podziałów resortowych nie pozwala na najbardziej efektywne ich wykorzystanie.

Byłoby świetnie, gdyby każdy rząd po wygranych wyborach zajmował się konstruowaniem długofalowych programów, bo tylko takie są sensowne. Obecnie pracujemy nad projektem Polska 2030. Dlaczego zakładam tak długą perspektywę? Osoby, które w 2030 roku osiągną swój szczytowy okres kariery zawodowej (między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia) i będą wtedy decydowały o kształcie Polski, dzisiaj są na etapie edukacji: od początku szkoły powszechnej po studia wyższe. Jakość ich edukacji zaważy na naszej przyszłości.

W dotychczasowej dyskusji dominowały jednak kwestie polityczne, a nawet ideologiczne. Pozwolę sobie zatem powiedzieć kilka słów o problemie zaufania społecznego. Tu widzę olbrzymią słabość po stronie rządu Donalda Tuska: mamy kłopot z narzędziami budowania tego zaufania.

Na czym polega problem zaufania? Nie chodzi przecież o brak zaufania do Donalda Tuska czy też do Platformy Obywatelskiej (sondaże opinii publicznej pokazują duże zaufanie do jego osoby i do samej partii). Przez lata zagnieździł nam się olbrzymi brak zaufania do władzy. Dobry jest przykład, o którym już w tej dyskusji wspomiano. Minister nauki i szkolnictwa wyższego ogłosiła, że inicjuje debatę o zmianach w szkolnictwie. I co się stało? Środowisko oczekuje decyzji, a nie debaty. Zatem natychmiast ogłasza, że nie zgadza się z propozycjami rządu, a cała sprawa świadczy o słabości obecnej władzy. A przecież debata polega na tym, że można zgłosić swój sprzeciw wobec jakichś propozycji, ale też przedstawić inne rozwiązania.

Sławomir Sierakowski zapytał, kiedy będzie rozwiązanie dotyczące emerytur pomostowych? Mogłoby ono powstać dawno, tylko rząd chce dotrzymać zasad dialogu społecznego i najpierw przeprowadzić konsultacje w komisji trójstronnej. To jednak wymaga czasu. Inna sprawa – to czy w ogóle mamy rozwinięty dialog społeczny w Polsce? Mam poczucie, że dotychczasowe mechanizmy wyczerpały się. Nikt już nie myśli o dobru wspólnym. I być może trzeba opracować inne rozwiązania. Myślałem nawet

o poproszeniu kilku osób, na przykład Juliusza Gardawskiego, Janusza Grzelaka, Jerzego Hausnera, Longina Komotowskiego i Marka Safjana, o przygotowanie autorskiego raportu o dialogu społecznym w Polsce.

Powtarzam – gabinet Donalda Tuska jest pierwszym normalnym rządem po zakończeniu procesu transformacji. Natomiast zarysowywanie obrazu polskiej rzeczywistości jako rozdarcia między wielką pustką reformatorską a groźbą wielkiego kryzysu, wybuchu społecznego i biedy może ułatwiać debatę intelektualną, ale realnych rozwiązań trzeba szukać między tak opisywanymi skrajnościami.

I już ostatnia uwaga. Każdy rząd po 1993 roku do wprowadzenia reform potrzebował przynajmniej roku przygotowań. Tymczasem od Donalda Tuska oczekuje się, że zmiany zostaną wprowadzone w ciągu zaledwie kilku miesięcy od czasu objęcia władzy.

Marek Borowski:

Tylko jedna uwaga. Nie po raz pierwszy można zaobserwować dziwne zjawisko: jakieś ministerstwo występuje z propozycją zmian i natychmiast jest ona uznawana przez grupy, których dotyczy, za ogłoszenie podjętej już decyzji. I zaczynają się protesty. Szkoda, że rząd Donalda Tuska nie wyciągnął wniosków z doświadczeń swoich poprzedników. Gdyby na przykład w dyskusji o uczelniach wyższych zapytano: „w jaki sposób podnieść poziom polskiej nauki i naukowców?”, a dopiero później zastanawiano się nad zniesieniem – częściowym lub całkowitym – habilitacji, to może nie pojawiłby się słynny list 44 profesorów.

Dariusz Gawin:

Wypowiedzi Michała Boniego, Wojciecha Dudy, ale też na przykład Waldemara Kuczyńskiego utwierdziły mnie w przekonaniu, że grozi nam stworzenie polskiego odpowiednika meksykańskiej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Mówiąc inaczej, zaczyna powstawać – i jest to popierane

przez wiele osób, a także przez wpływowe media – bezalternatywny system rządów technokratycznych. Co ciekawe, Prawo i Sprawiedliwość pozwala wpisywać się w ten *ersatz* demokratycznego systemu. Platforma jest opisywana jako partia, wobec której nie ma alternatywy, PiS zaś to tylko *ersatz* opozycji, bo nie jest realną siłą zdolną zdobyć władzę. Nigdy – chyba że w obliczu jakiejś katastrofy – nie zdobędzie więcej niż 25 procent poparcia wyborców (nie przypadkiem też w mediach podtrzymywany jest obraz Prawa i Sprawiedliwości jako partii alternatywnej dla rządzących, lecz w istocie im niezagrażającej). To sytuacja bardzo wygodna dla partii rządzącej.

Dostrzegam zresztą dwuznaczność obecnej sytuacji. Część *establishmentu* dostrzegła, że PiS nie jest tak bardzo straszny, a PO tak bardzo dobre. Niemniej, osoby te tym bardziej uważają, że rządzić powinna Platforma. To zjawisko nazwałbym znową powszechną za rządem lub inaczej: kredytem hipokryzji. Struktura psychologii społecznej jest skomplikowana. W określonych warunkach wiele osób nie chce się publicznie przyznać do popełnionej pomyłki. Oba te elementy wpływają i będą wpływać stabilizująco na poparcie dla Platformy.

Fascynujący jest także poziom demobilizacji społecznej. Sprzeciw wobec rządów PiS-u był zapewne zbyt historyczny (i prawdopodobnie przeszacowano skalę tego zagrożenia). Żyliśmy w hipertrofii retorycznej. Jednak obecna sytuacja może niepokoić. Krytycyzm obywateli, w tym przedstawicieli *establishmentu*, jest niezbędny w każdym systemie demokratycznym.

Kolejna sprawa. Odpowiedź na pytanie, czy Polska potrzebuje dziś dużych projektów reformatorskich, w większym stopniu zależy od wiary niż od oceny faktów. Michael Oakeshott twierdził, że w polityce większe znaczenie mają dyspozycje mentalne niż ideologiczne programy. Jedni mają dyspozycję liberalną, inni zaś konserwatywną. Od rodzaju dyspozycji będzie także zależało, co uznamy za potrzebne dla kraju. Ja tylko mogę powtórzyć moje argumenty. W 2013 roku zwolniło koło zamachowe polskiej gospodarki. Przyczyną spowolnienia nie będą wewnętrzne procesy gospodarcze, lecz zmniejszenie strumienia funduszy napływających z Unii Europejskiej. Istotne jest także, czy Polska w UE będzie odgrywała znaczącą rolę.

To wymaga państwa potrafiącego pilnować własnych interesów. Stawką jest to, czy w ciągu najbliższych dziesięciu lat zdołamy zająć ostatnie miejsce w dyrektoracie europejskim, czy też pozostaniemy szeregowym członkiem, Unii. Tylko pierwsza z tych ról pozwoli nam na uzyskanie efektu synergii, znacząco wzmacniającej już postępujący rozwój gospodarczy.

Do uzyskania tego wszystkiego konieczne jest spełnienie jednego warunku. Musimy posiadać klasę polityczną, która – tu odnoszę się do greckiego słowa *arete* czy łacińskiego *virtus* – jest „dzielna” (słowo „cnotliwa” w dzisiejszej polszczyźnie zbyt łatwo wyśmiać). Musimy posiadać klasę polityczną, która nie boi się i jest zdecydowana. Oczywiście, można snuć publicznie opowieść o braku potrzeby wielkich projektów i utrzymywać społeczeństwo w przekonaniu, że klasa polityczna potrzebna jest jedynie do zarządzania państwem. Jeżeli jednak ta sama klasa polityczna nie zawiąże „spisku dzielnych” dla uzyskania dla Polski najlepszych możliwości, to będzie krucho. Nie jesteśmy krajem, który może schować się w jakąś przytulną dziurę. Zajmujemy miejsce na przecięciu różnych interesów. Mimikra nam nie wystarczy.

Jestem pod wrażeniem kompetencji i pracowitości Michała Boniego. Odnoszę nawet wrażenie – to nie jest złośliwość – że jest Pan jednoosobowym ośrodkiem koordynacyjnym tego rządu, wypełnia funkcję całego Urzędu Rady Ministrów, a nawet jest rządem równoległym. Reszta rządu nie sprawa, niestety, takiego wrażenia. Jeżeli jednak mówi Pan, że państwem należy zarządzać jak firmą, to muszę zgłosić swój sprzeciw, wynikający z całkowicie odmiennych przekonań filozoficznych. Każde państwo potrzebuje dobrego zarządzania, ale nie jest firmą. To drobna różnica, lecz implikuje zasadniczy spór. Być może następuje proces domykania się systemu politycznego, który – przy *ersatzowej* opozycji i zdemobilizowanej opinii publicznej – ostatecznie zostanie zakończony za dwa lata. Znajdziemy się wówczas w sytuacji, w której jedynym regulatorem lub, mówiąc inaczej, sprawcą zmian będzie powódź, skandal albo załamanie gospodarcze. Ponownie wejdziemy w koleiny dialektyki tego, co społeczne, i tego, co polityczne. Zacznie się stan uśpienia, miejsce polityków zajmą technokraci.

Po takim czasie może nastąpić tylko gwałtowne zerwanie, nadmiar polityki, brutalnej, chaotycznej i nieskutecznej. Ponownie będą udzielane złe odpowiedzi na dobrze postawione pytania.

Uczestnicy debaty publicznej przypominają bohaterów spod Troi, którym tak spodobało się włóczenie trupa Hektora za rydwanem, że nie zauważyli, iż miasto dawno zostało zdobyte. Wybory w 2007 roku już wygrała Platforma Obywatelska! Rozmawiajmy o sprawach zasadniczych. Michał Boni proponuje dyskusję o Polsce 2030. Jeżeli będzie się snuło tylko technokratyczną opowieść o państwie, a odrzuci się pytania dobrze postawione przez PiS w 2005 roku i nie poszuka się na nie równie dobrych odpowiedzi, to nie wyrwiemy się z zakłętego cyklu polskiej polityki. Możemy patrzeć w przód, planować, jednak przyszłość zawsze przychodzi z boku, zaskakuje. Następuje kryzys, powódź czy kolejna afera Rywina.

Michał Boni:

Nie chciałem powiedzieć, że zarządzanie biznesowe ma obejmować funkcjonowanie całego państwa. Państwo nie jest firmą i spełnia bardzo różne funkcje. Jeżeli jednak chcemy zmienić relacje międzyresortowe, to do pokonania odrębności poszczególnych ministerstw i uzyskania efektu synergii wydawanych środków konieczna jest sprawność. Sięgnięcie po metody wypróbowane w zarządzaniu biznesem nie jest w tym przypadku wyborem przesadnie ideowym.

Jeśli chodzi o środki unijne po 2013 roku, to jednym z największych polskich wyzwań jest namówienie naszych partnerów do wprowadzenia takich zmian w polityce spójności, aby Polska mogła pójść drogą hiszpańską, czyli w drugim okresie programowania otrzymała takie duże środki, do jakich obecnie mamy dostęp. Musimy jednak być bardziej otwarci na możliwości pozyskiwania środków z innych programów, związanych m.in. z edukacją, nauką, a także energetyką (prawdopodobnie po 2013 roku będą miały odrębne ścieżki finansowania). Wreszcie, musimy pracować nad własną polityką regionalną.

Aleksander Smolar:

Przez całą naszą dyskusję przewijała się myśl o końcu epoki transformacji. Chciałbym jednak podkreślić, że zakończenie okresu zasadniczych przemian nie oznacza końca potrzebnych reform. Tymczasem wśród polityków oraz w mediach pojawiła się „ideologia”, według której dziś weszliśmy w okres, w jakim znajdują się inne kraje demokratyczne. W tej nowej sytuacji reformy nie są potrzebne, wystarczą drobne zmiany. To myślenie wydaje mi się dość absurdalne, a przede wszystkim empirycznie niesprawdzalne. Chociażby we Francji reformy wciąż są wprowadzane, a Nicolas Sarkozy doszedł do władzy pod hasłami niezbędnych radykalnych zmian. Teza o końcu czasu reform służy jedynie do ideologicznego uzasadnienia określonego typu praktyki.

Koniec epoki transformacji ma oczywiście bardzo istotne konsekwencje. Michał Boni użył świetnego określenia: „sierocy kompleks”. Nadszedł czas dezorganizacji, poszukiwania celów zastępczych, a także odreagowywania kosztów transformacji. Paliwem, dzięki któremu Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy, była przede wszystkim przeszłość, poczucie nieszczęścia i frustracji.

W dyskusji pojawiła się także gorąca obrona rządu Donalda Tuska, może nie tak bardzo potrzebna, bo chyba w zdecydowanej większości wśród tu obecnych uznajemy za fakt pozytywny to, że już nie rządzi Prawo i Sprawiedliwość. Zaskoczyły mnie jednak niektóre opinie tu wypowiedziane. Można było usłyszeć, że zadaniem rządu nie jest mówienie o przyszłości ani o przeszłości, ani nawet o teraźniejszości. Moim zdaniem to nieporozumienie, zwłaszcza w przypadku rządu, który jak dotychczas znacznie więcej mówi, niż robi. Można odnieść wrażenie, że dominują w nim opowiadający o rzeczywistości, nie zaś ci, którzy ją kształtują. W dzisiejszych czasach rządy, nawet w krajach najbardziej liberalnych, muszą myśleć o przyszłości. Tego przykładem jest też zapewne wspomniany przez Michała Boniego projekt Polska 2030. W rozwiniętych krajach demokratycznych rządy zajmują się również przeszłością – choć tu sprawa jest bardziej dwuznaczna. Przypomnę

też liczne uchwały zachodnich parlamentów, dotyczące minionych wydarzeń: kolonializmu, Holocaustu czy mordu na Ormianach. Wszystkie te działania są próbą nadawania sensu rzeczywistości i zdobywania poparcia społecznego właśnie poprzez jej wyjaśnianie. Próba dekretowania historii przez polityków niesie ze sobą również niebezpieczeństwa, co łatwo dostrzec w Polsce.

Kolejna kwestia. Jacek Żakowski wyraził optymistyczny sąd, że obecny rząd nieuchronnie będzie spychany ku rzeczywistości, zostanie zmuszony do porzucenia świata wirtualnego. Nie jestem o tym przekonany. Niepokoi mnie to, jak mało mamy wiadomości o działaniach gabinetu Donalda Tuska, nie wiemy, co się dzieje w wielu ministerstwach. Z tego wszystkiego wyłania się obraz rzeczywistości nieskoordynowanej, pozbawionej centralnego planu, niezbędnego dla koordynacji działań poszczególnych ministrów. Oczywiście, niektórzy szefowie resortów wydają się bardzo dobrzy, ale to jedynie ich własna zasługa. W przypadku poprzednich rządów dość szybko można było ocenić ich potencjał i pracę – miałem wrażenie, że stosunkowo szybko wiedziałem, co się dzieje i jaki jest potencjał danego resortu. Tym razem jest inaczej.

Odnoszę wreszcie wrażenie, że doszło w Polsce do dominacji – nie spotykanej na Zachodzie – działań PR-owskich i sławetnych *spin doctors*. To jest źródło niesamowitego cynizmu. Można w istocie mieć poczucie, że ważniejszy od rzeczywistości i wpływania na nią jest sam jej opis, posłuszna własnym celom bądź negatywna jej interpretacja. Ten problem dotyczy całej naszej sceny politycznej, ale odnoszę wrażenie, że w obecnym rządzie nadmierną siłą dysponują specjaliści od wirtualnej rzeczywistości.

Ostatnia uwaga dotyczy Europy. Polityka zagraniczna jest jednym z najsilniejszych punktów tego rządu. Poodkręcał on różne głupstwa swoich poprzedników. Jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że w przypadku stosunku do Unii Europejskiej nie zaszła jakaś fundamentalna zmiana. Można cytować chociażby wypowiedzi Donalda Tuska, w których mowa o załatwianiu w Europie interesów narodowych, ale w ogóle nie pojawia się kategoria dobra wspólnoty czy interesów całej Europy, dla których warto, także ze względu na długofalowe interesy Polski, zrezygnować czasami

z bieżącej korzyści. A tak, *nota bene*, robią wszystkie państwa wysoko rozwinięte, na przykład współfinansując rozwój krajów słabiej rozwiniętych, co przecież jest działaniem przeciwko interesom bieżącym własnych obywateli, a z czego także Polska bardzo korzysta.

Aleksander Smolar

Tusk: droga do rzeczywistości

François-René de Chateaubriand w *Pamiętnikach z za grobu* tak pisał o swoim sporze z konkurentem na dworze Karola X: „nie rozumiał on społeczeństwa, które prowadził, bo choć będąc prywatnie tradycjonalistą, chciał rządzić jedynie z myślą o finansach, handlu i przemyśle, o «społeczeństwie materialnym»”. I dalej: „Pan de Villèle [ów konkurent – A.S.] chciał utrzymać ten naród przy ziemi, przywiązany od dołu, ale nie miał nigdy po temu odpowiedniej siły. Ja chciałem skierować Francuzów ku sławie, ku wyżynom, by prowadzić ich do rzeczywistości drogą zwid sennych, droga marzeń: to właśnie lubią”.

Intencje Chateaubrianda były jasne. Trzeba dać społeczeństwu cele wysokie, odległe, wzniosłe. Trzeba stworzyć perspektywę, która nada sens wysiłkowi i zbiorowej codzienności, zintegruje społeczeństwo. Wielu wielkich polityków tak opisywało swoje powołanie. We współczesnej polityce słowa Francuza dają się jednak przełożyć na radykalnie odmienną koncepcję stosunków między władzą a obywatelami, między słowem a działaniem.

Interesującego przykładu dostarczają reakcje dwóch publicystów „Dziennika” na sejmowe *exposé* premiera Donalda Tuska. Piotr Zaremba napisał: „Jeśli Tuskowi uda się przeforsować niezbędne a trudne reformy pod osłoną lukru gładkiej mowy, trzeba mu będzie tylko przyklasnąć”¹.

¹ Piotr Zaremba, *Mozaika konkretów i iluzji*, „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 24–25.11.2007.

Z kolei Cezary Michalski stwierdził: „*Exposé* Tuska będzie miało sens, jeśli jego retoryczna miękkość posłuży do osłonięcia twardej i zdecydowanej polityki”. Dalej zaś: „Jeśli natomiast stanowiący wypełniacz, *massę tabulettae* wczorajszego *exposé* język «konserwatywno-liberalnego socjaldemokraty» zamiast osłaniać polityczne decyzje, stanie się sam programem polityki bez wyraźnego kierunku i decyzji, wówczas rząd Tuska przegra i to bardzo szybko”².

W obu ocenach zawarte było dość powszechne przekonanie, że język sejmowego wystąpienia Tuska – miłości, zaufania, odmowy wyboru – nie zawierał w istocie programu rządzenia. W najlepszym razie był prezentacją retoryki radykalnie przeciwnej do PiS-owskiej. Droga, jaką wybrał Donald Tusk, była na pewno inna od tej, którą sugerował Chateaubriand, ale też inna od sugerowanej przez cytowanych autorów. Tusk z lekceważeniem mówił o tych, którzy od niego oczekiwali wizji, projektu dla Polski. Bardzo w tym przypominał prezydenta George’a Busha seniora, który pogardliwie reagował na twierdzenia, że potrzebna jest wizja – *the vision thing* – w rządzeniu.

Wybór Tuska nie był sprawą przypadku: „wyrzucę z Platformy każdego, kto będzie mówił, że Platforma jest po to, żeby przeprowadzić bolesne reformy. Jeśli ktoś chce bólu, niech idzie do stomatologa i rwie zęby bez znieczulenia”³. Odpowiadał też: „Kiedy ktoś mi mówi w PO, że musimy mieć szuflady pełne ustaw, miałem ochotę poszukać noża”. W istocie nie była to krytyka zbyt radykalnego programu reform i parlamentarnego aktywizmu. Słowa Tuska były wymierzone w koncepcje rządzenia jako reformowania, zmierzania do jakiegoś ideału. Takie sformułowania mogły sugerować – zupełnie niestusznie – najbardziej zachowawczą koncepcję rządzenia od 1989 roku.

Donald Tusk zdawał się rozumieć, że społeczeństwo po trudach transformacji i po traumie rządów Jarosława i Lecha Kaczyńskich pragnie pokoju

² Cezary Michalski, *Aksamitna liberalna rewolucja*, „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 24–25.11.2007.

³ Cytat za „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 08.03.2008.

i pozostawienia w spokoju: jak najmniej polityki i jak najmniej mówienia o przyszłości, ale też o przeszłości – mimo zdawkowych pochwał Premiera pod adresem PiS-owskiej „polityki historycznej”. Mimo przeszłej retoryki o IV RP, mimo angażowania się w popieranie Prawa i Sprawiedliwości: w sprawie lustracji, służb specjalnych, CBA... Polacy żyją dniem dzisiejszym, pragną bezpieczeństwa i chcą cieszyć się widocznym postępem materialnym. I nie chcą w gruncie rzeczy myśleć o państwie ani też o jego nachalnej obecności. Czy można czymś innym wytłumaczyć niezwykłą i ciągle utrzymującą się popularność Kazimierza Marcinkiewicza i uznanie go nawet, w jednym z sondaży, za polskiego męża stanu numer jeden? Marcinkiewicz pozostawał – w pierwszych miesiącach rządów Platformy – niewątpliwym wzorem sposobu sprawowania funkcji premiera dla Donalda Tuska. Nie przypadkiem też publicyści postugiwali się tytułem głośnej książki Roberta Musila dla opisanego profilu nowego Premiera. Nie było to zazwyczaj pochlebne określenie, ale znalazł się wyjątek od tej reguły. W tekście *Tusk – silny polityk bez właściwości*⁴ opublikowanym w „Dzienniku” ów „brak właściwości” został uznany za cechę pozytywną Premiera, zwłaszcza w oczach młodzieży.

Donald Tusk, nauczony doświadczeniami klęsk Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Unii Wolności, pilny obserwator upadku Akcji Wyborczej Solidarność i Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nie zamierzał bowiem czynić tego, co podpowiadali mu liczni obserwatorzy i politycy, również z kręgu Platformy Obywatelskiej, to znaczy popełnić samobójstwa. A do niego nieuchronnie prowadziły – mówili o tym Tusk i wszyscy bliscy mu ludzie – rządy ambitne, transformacyjne, pchające Polskę do przodu. Na pytanie jednego z dziennikarzy, za co chciałby być wspomniany, odpowiedział, że za... „Orliki”. Rzeczywiście, budowanie gminnych boisk i stadionów na Euro 2012 to dwa wyróżniające się priorytety pierwszych miesięcy jego rządów. Najpoważniejsze dokonania wiążą się jednak z usuwaniem pozostałości po rządach Prawa i Sprawiedliwości. Pod koniec czerwca 2008 roku

⁴ Tomasz Plata, *Tusk – silny polityk bez właściwości*, „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 15.02.2008.

Donald Tusk w następujący sposób wyjaśniał fakt, iż 79 procent Polaków nie potrafiło wymienić żadnej sprawy, którą udałoby się zatłwić rządowi: „Platformę do władzy wyniosła społeczna potrzeba odsunięcia Kaczyńskiego, Leppera i Giertycha, uporządkowania relacji międzynarodowych, wyeliminowanie wewnętrznej agresji i stanu gorącej wojny politycznej w Polsce. A także potrzeba rewitalizacji najbardziej fundamentalnej liberalnej zasady prowadzenia polityki, to znaczy – uznania, że państwo nie jest instytucją represji budzącą lęk u obywateli. Mam chyba prawo powiedzieć, że zarówno w wyborach, jak i przez te pół roku wypełniamy to najważniejsze wobec nas oczekiwanie”⁵.

Myślę, że było to dobre rozpoznanie rzeczywistości, chociaż zarazem zastanawia unikanie klarownej diagnozy, i to od pierwszej chwili po wyborach, czym były w istocie rządy Prawa i Sprawiedliwości. Zastanawiała również powolność w usuwaniu pozostałości PiS-u w dwóch dziedzinach, w których koncentrowały się największe pasje ludzi Kaczyńskiego: w mediach publicznych oraz w służbach specjalnych (przede wszystkim w CBA). To ostatnie można, jak sądzę, zapisać Donaldowi Tuskowi na plus. Miał on głęboką świadomość, że największym zagrożeniem dla niego nie jest opozycja ani też brak strategii zmian. Wiedział, że SLD upadł w wyniku moralnej kompromitacji i korupcji. Zarówno utrzymywanie Mariusza Kamińskiego, PiS-owskiego radykała, jak i ekstrawaganckiej Julii Pitera, wywodzącej się z tej samej Ligi Republikańskiej, ma służyć przede wszystkim pilnowaniu „swoich” przed korupcją. Do tego zagrożenia wielokrotnie Premier powracał – chociażby na spotkaniu z klubem parlamentarnym Platformy Obywatelskiej w pierwszą rocznicę zdobycia władzy.

Wielokrotnie w przeszłości, ale również niedawno, Donald Tusk mówił: „Ja nie boję się formuły odpowiedzialnego populizmu. Uważam, że warto robić, ale w sposób odpowiedzialny – to podkreślam – coś, co się ludziom podoba. Polityka nie musi być męczarnią dla ludzi”⁶. To oczywiste,

⁵ Tusk: *Nie naciskać na Irlandię* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają dziennikarze „Gazety Wyborczej”], „Gazeta Wyborcza”, 21.06.2008.

⁶ *Nowe exposé* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają Jerzy Baczyński i Janina Paradowska], „Polityka”, 04.10.08.

że „polityka nie musi być męczarnią dla ludzi”. Wszyscy też wiedzą, jaka jest zależność między „męczarnią” uprawianej polityki a klęską reformatorskich partii w wyborach. Słowa Tuska znaczą zatem więcej, niż formalnie jest w nich zawarte. Jego zachowawczy radykalizm szedł dalej niż kwestionowanie istoty sensu reform i działalności ustawodawczej parlamentu. Stawiał on pod znakiem zapytania samo pojęcie przywództwa. Ci, którzy zostali wybrani na najwyższe stanowiska w państwie, nie mają przewodzić narodowi, wskazywać kierunku, w którym społeczeństwo powinno podążać, tylko odpowiadać na jego oczekiwania, jego potrzeby. Rządzący mają być odbiciem społeczeństwa, a nie drogowskazem, wzorem, modelem. Społeczeństwo jest takie, jakie jest, wyłonione władze nie powinny starać się go zmieniać – bo to jest w istocie – głosił on – niedemokratyczne.

Znamienną metaforą posłużył się Donald Tusk, aby opisać charakter zmian, jaki zaszedł po odejściu PiS-u: Platforma Obywatelska „na tle konkurencji jest grupą ludzi przyzwoitych, odpowiedzialnych, normalnych. Dających poczucie bezpieczeństwa. [...] Ludzie poczuli się znów jak w domu, a nie na jakiejś szalonej wycieczce”⁷. Ani słowa o przywództwie, celach, kierunku.

Wpływ na wybór typu polityki nowego Premiera miało jednak nie tylko przekonanie, iż nastąpił koniec czasu wielkich (i kosztownych) reform, nie tylko doświadczenie tych polityków i partii, które zapłaciły wysoką cenę za wprowadzane zmiany, nie tylko ocena społeczeństwa, które pragnie spokoju i prywatnych gratyfikacji. Było to również wynikiem całkowitego nieprzygotowania PO do rządzenia. Jeżeli przed paru miesiącami dało się zauważyć zmianę w stosunku do rzeczywistości, to był to również wynik procesu uczenia – można było przejść do zadań w sferze realnej. Wybór polityki zachowawczej wynikał też z odczytania układu sił. Z natury zachowawcze Polskie Stronnictwo Ludowe – nieunikniony sojusznik – oraz deklarowana wrogość Lecha Kaczyńskiego, przy rozkładzie i nieprzewidywalności Sojuszu Lewicy Demokratycznej – to wszystko skłaniało do wyboru postawy oczekiwania na wybory prezydenckie i na dysponowanie

⁷ Tamże.

pełnią władzy. Projekt reform – który nie znikł i nie mógł w pełni zniknąć z horyzontu Platformy – został w istocie odłożony nie *ad calendas graecas*, lecz *ad calendas Tuskus*, na lepsze czasy.

Platforma Obywatelska, niezależnie od celów taktycznych jej przywódców, nie mogła jednak całkowicie odrzucić programu reform. Myślenie o nim i działanie wymuszało otoczenie europejskie; wpływ na to miała także tradycja rządów wywodzących się z opozycji demokratycznej, dla której modernizacja Polski oraz zbliżanie jej do cywilizacyjnego, europejskiego centrum były, poza bezpieczeństwem kraju, podstawowym wyzwaniem. Silną presję w tym kierunku wywierały media i sama Platforma. Krytycy tej partii, niemal od pierwszego dnia, zarzucali jej nic-nie-robienie, odwołanie posiedzeń Senatu, który nie miał nic do roboty, gnuśność Premiera, który z dwutygodniowych wakacji po dwóch miesiącach rządów pędził natychmiast na boisko, by rozegrać z kolegami tradycyjny mecz. Być może postępował tak, ponieważ widział bardzo wąski margines tego, co mógł uczynić. Lub też w ten sposób widział swoje postąnnictwo: zmieniać jak najmniej. Obie te odpowiedzi być może są właściwe.

Polityka jako opowieść

Wielu publicystów zwracało uwagę na populistyczne pokrewieństwo polityki Donalda Tuska i tabloidów. Pisano o tym na przykład wtedy, gdy zapowiadał „wprowadzenie w Polsce kastracji chemicznej nie na życzenie skazanego, ale jako element wyroku”, wyjaśniając zarazem, że „takie indywiduum nie zasługuje na miano człowieka”. Wypowiedź ta została zinterpretowana jako przejaw wyjątkowo brutalnego marketingu – apełowanie do strachu, nienawiści, nieliczenie się z normami państwa prawa, które każe szanować człowieka nawet w zbrodniarzu⁸.

Pokrewieństwo polityki Donalda Tuska i prasy bulwarowej wykracza jednak daleko poza te ramy. On sam zresztą na te związki się powoływał. Tuż po uformowaniu rządu nowy Premier znalazł czas na to, aby zredagować

⁸ Na przykład Piotr Pacewicz, *Tusk jak tabloid*, „Gazeta Wyborcza”, 11.09.2008.

numer dziennika „Fakt” (29.11.2007). I tak oto w telewizji skomentował swoje doświadczenie: „Redagowanie gazety też może być sposobem opowiadania o rzeczywistości”. Intrygujące zdanie. Na pewno temu służą książka, film, zwykła rozmowa, bajka opowiedziana dziecku przed zaśnięciem. Ale przecież nie takie opowiadanie miał na myśli nowy Premier rządu RP! Czołowy dziś polski polityk dawał, świadomie czy też nie, świadectwo własnej koncepcji polityki – w istocie koncepcję likwidacji polityki. Traktowanie pracy premiera w ten sposób oznacza w istocie przekonanie, że polityka nie jest domeną tworzenia faktów, osiągnięcia postępu, zmieniania rzeczywistości ze względu na potrzeby rozwoju, stabilizacji, zaspokajania potrzeb społecznych, aby zbliżyć się choć trochę do ideału dobrego państwa i nowoczesnego społeczeństwa, lecz jest „sposobem opowiadania o rzeczywistości”.

Nie była to przypadkowa wypowiedź. Robert Krasowski, redaktor naczelny „Dziennika”, wspominał niedawno wypowiedziane prywatnie słowa Donalda Tuska na temat sukcesu „Faktu” i profilu Platformy Obywatelskiej⁹. Poważne gazety, powiadał Donald Tusk, czytelnika do czegoś wciąż namawiają, bulwarowe – czytelnikowi służą. Przywódcy Platformy Obywatelskiej uznali, że formuła „do usług” jest najlepszą ofertą dla społeczeństwa. To inny sposób zdefiniowania bliskiego Tuskowi „odpowiedzialnego populizmu”.

Jeżeli spojrzeć na pierwszy rok jego rządów, to zaskakują dwa główne kierunki krytyki Donalda Tuska i jego otoczenia:

- brak strategii, woli realizacji reform,
- skoncentrowanie na „manipulacji”, marketingu, PR.

W marcu 2008 roku już 85 procent Polaków było zdania, że politycy często nimi manipulują. Zdaniem ankietowanych największymi manipulatorami są... bracia Kaczyńscy oraz Donald Tusk (sondaż TNS OBOP, 8 marca 2008 roku). Na pewno Prawo i Sprawiedliwość nie miało i nie ma pod tym względem lepszej reputacji niż Platforma Obywatelska. Adam Bielan, Michał Kamiński, Jacek Kurski stali się znanymi specjalistami od manipulacji.

⁹ Wypowiedź na konferencji *Partie i zmiany granic polityki* zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego. Tekst ukaże się w tomie pod takim samym tytułem w 2009 roku.

Tym niemniej, paradoksalnie, reputacja ta przyłgnęła bardziej do PO i osobiście do premiera Tuska. Choć PR-owcy, manipulatorzy obrazem, gestem i słowem, są silnie obecni w polskiej polityce przynajmniej od czasu pierwszej kampanii prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego, który wygrał wybory prezydenckie m.in. dzięki pomocy wybitnego specjalisty francuskiego Jacques'a Seguela, a później mieli duże znaczenie za rządów Kaczyńskich, to prawdziwą karierę zaczęli robić dopiero za rządów Platformy Obywatelskiej. Stają się prasowymi guru, uprzywilejowanymi interpretatorami naszej polityki. Pozycji medialnej Piotra Tymochowicza, doradcy Andrzeja Leppera, nie można nawet porównać z osiągniętą na przykład przez Eryka Mistewicza, specjalistę – jak jest to określane – od „budowania wizerunku z użyciem marketingu narracyjnego”. Jego śladem idzie wielu innych, mniej znanych, chociaż być może w swoim zawodzie bardziej skutecznych. Fascynują oni klarownością oraz cynizmem ujawnianych – i często wymyślanych – mechanizmów polityki. Urzekają emanującą z ich słownictwa siłą sprawczą, możliwością manipulowania politykami, masami, społeczeństwami.

Czy zbieżność szczytu ich popularności z czasem rządów PO jest przypadkowa? Myślę, że nie, choć ten związek niekoniecznie jest bezpośredni. Przed wszystkim niesłychany awans tej profesji wiązał się ze zdefiniowaniem polityki jako sztuki wpływania na sposób, w jaki społeczeństwo postrzega rzeczywistość. Wynikało to częściowo z cynizmu, częściowo zaś, paradoksalnie, ze słabości Platformy Obywatelskiej, które miała poczucie ograniczonych możliwości oddziaływania na rzeczywistość.

Brak klarownych celów i jakiegokolwiek strategii, a także dystansowanie się od reform spychało politykę ku sferze słów, a nie faktów. Ciekawym przykładem tego przemieszczenia pola działania – i to w czasie, gdy PO już zajęło się sferą realną – była odpowiedź Premiera na pytanie Tomasza Liśa o największe popełnione przez niego błędy w ciągu roku rządów. Tusk wymienił: „awanturę o samolot”, czyli gorszący konflikt z Prezydentem o jego prawo do udziału w szczycie Unii Europejskiej 15 października 2008 roku, oraz wyprawę do Ameryki Łacińskiej, która została utożsamiona z „najwspanialszymi wakacjami” na koszt państwa, odwiedzeniem

Machu Picchu oraz włożeniem ośmieszanej przez dziennikarzy czapeczki... To istotnie były dwie poważne wpadki wizerunkowe, ale przecież nie dotyczyły sfery realnych działań, za które Premier odpowiada. O tych Donald Tusk nie mówił i pewnie w ogóle nie pomyślał. A przecież prasa jest pełna opisów zaniechań, opóźnień, złych decyzji, braku odwagi w podejmowaniu ważnych dla Polski wyzwań, gdy czas ucieka, a koszty tych zaniechań są coraz wyższe. Wyrazem „tabloidytacji” Platformy Obywatelskiej jest również typ osobowości i kompetencji, jakie ta partia uprzywilejowuje. Wśród największych „rębajtów” PO – specjalistów od mokrej roboty – są ludzie inteligentni, myślący. Równocześnie zyskują największą stawę, najsilniejsze miejsce w polityce i swojej partii dzięki brutalnym atakom na przeciwników. Są tego przykładem – w innych nieco konkurencjach – Stefan Niesiołowski i Janusz Palikot (do innej kategorii należy Sławomir Nowak). Podobny proces widoczny jest też w PiS-ie, gdzie głównym specjalistą od mokrej roboty został sam Jarosław Kaczyński.

Manipulacja

Dlaczego dopiero rząd Donalda Tuska stał się uosobieniem rządów *spin doctorów*, technologów władzy – by posłużyć się rosyjską nazwą dla nowych specjalistów od nierzeczywistości i wpływania za jej pomocą na rzeczywistość? Rzecz jest ciekawa i intrygująca. Dlaczego zatem tak się stało? Wydaje się, że jest po temu parę powodów.

Po pierwsze, sprawowanie władzy wspólnie przez Jarostawa i Lecha Kaczyńskich było okresem rządów ludzi o silnych przekonaniach i wyrazistym programie oślawionej IV RP. Przez dużą część Polaków były one uważane za szkodliwe, ale nie cyniczne, chociaż samo to słowo często padało ze względu na związki z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem. Jednak wiara, że cel uświęca środki – tak silnie obecna w postępowaniu ówczesnych władz – charakteryzuje często tych, którzy są przekonani o tym, że reprezentują „bezwzględne dobro”, a jego realizację usprawiedliwiają nawet wątpliwe metody. Można więc mówić o poważnych zagrożeniach płynących z rządów

Kaczyńskich, ale na pewno nie o ich cynizmie. W przypadku rządów Donalda Tuska nie można widzieć w nich zagrożeń dla demokracji i ładu prawnego, ale zapach cynizmu rozchodził się dość szeroko.

Po drugie, liberaltowie z otoczenia Donalda Tuska mieli zawsze bardzo wyraziste cechy odróżniające ich od przedstawicieli innych sił politycznych. Radykalnych liberaltów odróżniało zawsze stawianie społeczeństwa nad państwem, przedsiębiorstwa nad administracją, odpowiedzialności indywidualnej nad publiczną redystrybucją *etc.* Kilka celów, czy choćby hasła, odróżniało liberaltów, od czasów KLD po PO, od innych. Wspomnijmy dla porządku: radykalna prywatyzacja, mocne ograniczanie roli państwa, redukcja podatków z przyznawaniem naczelnej roli podatkowi liniowemu, eliminowanie immunitetu parlamentarnego, likwidacja Senatu, ograniczenie roli Sejmu, eliminacja finansowania partii przez państwo *etc.* Nietrudno dostrzec, że z wyboru czy z konieczności wszystkie te elementy programu, choć są czasami przypominane w retoryce obozu rządzącego, znikają z praktyki rządzenia. Mimo że dziś Platforma Obywatelska stara się zatrzeć w pamięci społecznej obraz swojego dawnego liberalizmu, to nadal nietrudno dostrzec – przede wszystkim w stosunku do państwa – pozostałości intelektualne i emocjonalne wcześniejszych przekonań: w państwie dostrzega się przede wszystkim zagrożenie i opresję dla swobodnej kreacji wolnych obywateli, narzędzie represji i ograniczeń wobec społeczeństwa obywatelskiego, niepotrzebną skorupę krępującą nieograniczone możliwości ludzi. Celem ma być więc ograniczanie omnipotencji państwa i jego instytucji, ich redukcja i – w konsekwencji – stopniowa likwidacja lub sprowadzenie roli państwa do minimum.

Po trzecie, podstawowym elementem etosu rządów wywodzących się z tradycji postsolidarnościowej, z obozu demokratycznego – poczynając od rządu Tadeusza Mazowieckiego, na gabinecie Jerzego Buzka kończąc – był projekt Polski coraz bardziej zbliżającej się do standardów rozwiniętych demokracji zachodnich. Stąd zmienianie Polski, jej reformowanie, było podstawowym wyzwaniem stojącym przed tymi rządami oraz gabinetami Jana Krzysztofa Bieleckiego i Hanny Suchockiej. Trzeba też powiedzieć,

że rządy zdominowane przez SLD, zwłaszcza kierowane przez Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera i Marka Belkę, również wyraźnie były podporządkowane woli dokonywania postępu, by zbliżyć Polskę do krajów rozwiniętych. Rząd Jarosława Kaczyńskiego wielkich zmian do życia realnego Polaków nie wprowadził. Jednak i w jego przypadku hasła sanacji, walki z korupcją i „układami”, tworzenie służb antykorupcyjnych czy choćby lustracja miały retoryczny rewolucyjny rozmach i tworzyły przynajmniej pozory woli radykalnej zmiany.

Z drugiej strony, rządy SLD–PSL po pierwszej wielkiej fali zmian – Józefa Oleksego i Waldemara Pawlaka – miały wyraźne cechy zachowawcze, symbolizowały wolę „postoju w środku rzeki”, jak to kiedyś metaforycznie ujęła Teresa Bogucka. Nigdy jednak dotychczas wola odpoczynku oraz potępienie jakichkolwiek prób narażania społeczeństwa na wyrzeczenia, wysiłki czy reformy nie były tak silnie obecne, jak za rządów Donalda Tuska w pierwszej ich fazie.

Niemal wszyscy obserwatorzy odnotowali swoisty paradoks. Wiadomo, że konieczne zmiany najłatwiej przeprowadzić w pierwszym okresie rządów. Symbolicznie mówi się o stu dniach: społeczeństwo pełne jest jeszcze powyborczych nadziei, a w każdym razie gotowe jest udzielić „nowym” pewnego kredytu zaufania, opozycja zaś po przegranej znajduje się w rozsypce, jest zdemoralizowana i potrzebuje czasu, by móc przeciwstawić nowej władzy solidny opór; zmiana władzy osłabia też na pewien czas opór administracji, która ma naturalne skłonności do odtwarzania rutyny procedur i działań oraz do eliminacji, w miarę możliwości, wszelkich nowinek.

Paradoks polegał na tym, że rząd Platformy Obywatelskiej – z wyboru czy z konieczności – dokonał odwrócenia sekwencji zdarzeń, odsuwając konieczne zmiany, reformy na przyszłość. Najchętniej na przyszłość po wyborach prezydenckich, gdy PO, dzięki przyjętej taktyce, będzie dysponowała pełnią władzy. Istotnym uzasadnieniem była oczekiwana aktywność Prezydenta jako w istocie przedstawiciela PiS-u. Drugi powód – również często przywoływany – to nieprzygotowanie do sprawowania władzy kierowniczej ekipy PO, poczynając od samego Premiera. To samo powiedzieć można

o jego bezpośrednim otoczeniu, z wyjątkiem Michała Boniego – którego kiedyś już nazwałem Specjalnym Pełnomocnikiem do spraw Kontaktów z Rzeczywistością. Inni najbliżsi współpracownicy mieli bowiem raczej za zadanie dbanie o PR, o przychylną Premierowi (przede wszystkim), ale i rządowi opowieść, narrację, którą można by było sprzedać społeczeństwu.

Od wirtualu do realu

Publicyści „Rzeczpospolitej” w rozmowie z Premierem, przeprowadzonej w listopadzie 2008 roku, mówili: „czym innym jest realizowanie trudnego w odbiorze społecznym programu, a czym innym tworzenie zaledwie dobrego wrażenia u wyborców”. Była to dość typowa i dość szeroko podzielana krytyka rządów Platformy w pierwszym roku jego funkcjonowania. Znalazła też dla siebie drogę do najpoważniejszych pism zachodnich, że wspomnę ocenę „The Economist” z czerwca 2008 roku, którego publicysta pisał, że celem Tuska jest prezydentura, a nie podejmowanie już teraz śmiałych działań rządowych. Rozżalony Premier we wspomnianej rozmowie dla „Rzeczpospolitej” zadaje retoryczne pytania: „Czy ja uciekam od testów najtrudniejszych? Czy zabrałbym się za pomostówki, gdyby ta teza była prawdziwa? Albo za komercjalizację szpitali? [...] Czy ja wybrałem drogę populistyczną w obu powyższych sprawach? Nie. Czy zabieralibyśmy się za wprowadzenie w Polsce euro, które będzie budziło lęki i emocje? To są projekty, które mogą nieść tanią popularność? [...] Koalicja PO i PSL podejmuje kilka trudnych projektów. Np. dotyczący *in vitro*. [...] My podejmujemy decyzje szczególnie narażające na mobilizację nieprzyjaznych emocji wobec nas, nie mając swojego zaplecza związkowego i co najwyżej neutralność Kościoła. [...] Widzę w wielu projektach, które realizujemy, same miny i pułapki. I mimo to potrafimy powiedzieć związkom: nie wytupiecie przywilejów kosztem innych, słabszych”¹⁰.

¹⁰ *Z niczego nie rezygnujemy...* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają Piotr Gabryel, Paweł Lisicki i Bernadeta Waszkielewicz], „Rzeczpospolita”, 24.11.2008.

Jest to zupełnie inny język niż ten, do którego przyzwyczaił nas Donald Tusk. Już nie mówi, że wyrzuci tych, którzy będą opowiadali o „reformach” czy o kolejnych aktach legislacyjnych. Nie ma pustostawia o miłości i zaufaniu, nie ma mieszania spraw prywatnych i publicznych, nie ma wiary, że wszystkie cele w istocie da się zrealizować. Nie ma już przekonania, iż można zaspokoić oczekiwania nacjonalistów i socjalistów, konserwatystów i etatystów, liberałów i kolektywistów, związkowców i przedsiębiorców, chadeków i libertynów. Pojawia się świadomość, której publicznie Premier nie dawał świadectwa, że polityka oznacza wybór, nieuchronny konflikt. I że konieczne poszukiwanie kompromisu nie oznacza jedności. Mniej też, jak się wydaje, słychać ostatnio PR-owców z otoczenia Premiera, którzy kompromitowali go, zamiast umacniać.

Można zapewne mieć zastrzeżenia lub wątpliwości dotyczące listy przedstawionej przez Donalda Tuska w „Rzeczpospolitej”, ale zasadniczo jest ona prawdziwa. Dla porządku warto też wymienić obszar polityki zagranicznej, w której obecny rząd ma istotne dokonania (tą kwestią tutaj się nie zajmowaliśmy). Sprawa „pomostówek” czy euro dowodzi, że Premier nie ucieka od „testów najtrudniejszych”. Nie niosą też one ze sobą „taniej popularności”. Do tego można dodać ambitny program 50+, aktywizację zawodową ludzi, którzy w Polsce zbyt wcześnie przechodzą na emeryturę. Trzeba też mimo wszystko wymienić dwa osiągnięcia „sportowe”: budowę „Orlików” dla młodzieży i dużych stadionów na Euro 2012. Czym więc można wytłumaczyć tę zmianę w pracy rządu? Czy oznacza ona równoczesną zmianę filozofii rządzenia?

- Na pewno rolę odegrał tu **proces uczenia się**. Mimo upływu dwudziestu lat od ustrojowej transformacji mieliśmy kolejną grupę dyletantów, która obejmowała rządy nad krajem. Trzeba pamiętać, że sam Premier nie miał żadnego przygotowania do pracy państwowej. Był dziennikarzem, wydał książki o Gdańsku, był wicemarszałkiem Senatu, a następnie Sejmu oraz szefem partii. Nie znajdzie się w jego biografii najmniejszego śladu pracy w administracji czy kierowania

resortami. Nieraz mówiono także o pustych szufladach rządu. Istniała w Platformie Obywatelskiej grupa polityków, która, w ramach gabinetu cieni, przygotowywała się zapewne do sprawowania rządów. Nie było jednak żadnej ciągłości między tą grupą a prawdziwym rządem, między kandydatem na premiera Janem Rokitą a premierem Donaldem Tuskiem. Tak więc zmiany, które można dostrzec po roku, wynikają zapewne po części z procesu uczenia się.

- **Perspektywa wyborów prezydenckich i uzyskania pełni władzy w rękach PO została uznana za nadrzędny cel polityczny.** Stąd brała się niechęć do przedsięwzięć, które mogły obniżyć poziom popularności Platformy Obywatelskiej. Od początku rządów przyjęto założenie, że ofensywa reformatorska rozpocznie się po wyborach prezydenckich w 2011 roku (finanse publiczne, KRUS, podatek liniowy, zmiany konstytucyjne *etc.*). Jednakże sytuacja wewnętrzna, a także zmiany zewnętrzne, przede wszystkim groźba kryzysu gospodarczego, wymusiły podejmowanie realnych działań, nawet w sytuacji posiadania ograniczonej władzy.
- Donald Tusk postawił zatem na **zmiany**, które można dokonywać **w ramach obowiązujących przepisów**, aby ominąć w ten sposób groźbę weta prezydenckiego – co Lech Kaczyński od dawna zapowiadał – jego przelamanie bowiem wymaga większości 3/5 głosów w sejmie, czyli 276 głosów, a nie 231 zwykłej większości. Jednak gdyby rząd chciał rządzić tylko przy pomocy rozporządzeń, to w istocie nie byłoby miejsca na jakiegokolwiek reformy (ostatnia seria wet prezydenckich pokazuje, że groźba ta nie była iluzją).
- Jednak przez dłuższy czas rząd ograniczał się do deklarowania defetyzmu, powołując się na możliwość weta prezydenckiego, a nawet nie wypróbując siły jego obstrukcji. Panowała swoista **psychoza bezsilności**. Było to więc bardziej alibi, usprawiedliwienie, niż rzeczywisty argument, doświadczenie bowiem ostatniej fali legislacyjnej daje obraz znacznie bardziej złożony. Prezydent dysponuje rzeczywiście silną bronią weta i chętnie po nią sięga. Nadużywanie weta kompromituje jednak

Lecha Kaczyńskiego i cały PiS, prowadząc do obniżenia ich popularności. To jest sankcja, z którą muszą się liczyć. Ofensywa legislacyjna rządu, pokazująca wolę, wiedzę i gotowość PO–PSL do przeprowadzania zmian, blokowanych następnie przez koalicję dwóch braci z selektywnym udziałem Grzegorza Napieralskiego, musiałaby osłabiać tych ostatnich, a nawet pogrążyć ich w oczach wiernych im wyborców.

- W tej sytuacji Platforma Obywatelska może osiągać porozumienie z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Musi jednak wykazywać wolę porozumienia, gotowość pójścia na kompromis. Zabrakło jej przy ustawie medialnej oraz przy pakiecie ustaw zdrowotnych, gdzie porozumienie było stosunkowo łatwe do osiągnięcia i zapewniałoby lepsze warunki realizowania celów rządu niż bezustawowa droga przekształceń własnościowych szpitali, którą PO ostatecznie wybrała. Z drugiej strony, doświadczenie z ustawą „pomostową” pokazuje, że SLD nie może pozwolić sobie na systematyczne głosowanie wspólnie z PiS-em, bo to oznaczałoby dla Sojuszu popełnienie samobójstwa. Wyborcy lewicy są przecież znacznie bliżsi PO i jego interesom niż PiS-owi. W obu przypadkach są to elektoraty miejskie, lepiej wykształcone, proreformatorskie, bardziej zorientowane na Europę, świeckie i pragmatyczne.

Platforma Obywatelska, dochodząc do władzy, żyła iluzją o końcu głębokich zmian. Dominowało przekonanie, że dzisiaj wystarczy administrowanie i zarządzanie. Słowo „reformy” – mówił Michał Boni w czerwcu 2008 roku – „stało się pustym frazesem, zresztą nieustannie kojarzonym z czymś, co groźne”¹¹. Celem tego rządu – sugerował więc – nie była rezygnacja z reform, lecz rezygnacja z języka, który straszy wszystkich dookoła. Przypomina się tu przedwojenna reklama pewnego lekarstwa: „Czyści, nie przerywając snu!”.

Jedną z podstawowych cech władzy uformowanej przez Donalda Tuska była rola, jaką odgrywała w niej polityczna manipulacja. Nie jest dla mnie do końca jasne, co można uznać za przyczynę takiej sytuacji, a co za jej skutek: dominację specjalistów od narracji oraz kampanii wizerunkowych

¹¹ Michał Boni, *Pusty frazes „reformy”*, „Gazeta Wyborcza”, 20.05.2008.

w otoczeniu Premiera czy merytoryczne nieprzygotowanie rządzących? Czy położenie nacisku na manipulację polityczną wynikało z uczucia bezsily, której głównym źródłem była swoista koalicja Jarosława i Lecha Kaczyńskich (czyli sojusz Pałacu Prezydenckiego z największą partią opozycyjną), połączona z odrzuceniem możliwości zawierania porozumień z lewicą? Może jest to wynik przyjęcia długofalowej strategii podboju władzy, dla której poświęcano dzisiejsze rządy, albo też cyniczna wizja polityki, w której wiara w sprawczą rolę słowa i obrazu dominuje nad wiarą w czyn, w zmienianie rzeczywistości ze względu na cele strategiczne, przyjęte i zaakceptowane w wyborach przez społeczeństwo.

Prawdopodobnie można mówić o współwystępowaniu tych przyczyn. Słabości władzy prowadziły do ucieczki ku manipulacji świadomością społeczną, gdy nie można było zmieniać rzeczywistości, ale też brak woli dokonywania zmian – ze względu na polityczne cele podboju pełni władzy – prowadził do koncentracji uwagi na poprawianiu obrazu rzeczywistości, usprawiedliwianiu wybranej strategii postawą Prezydenta i opozycji oraz konserwatyżmem PSL-u. Uczucie bezsilności rodziło i umacniało cyniczną wizję polityki. Ta zaś cyniczna wizja szukała uzasadnień dla praktyki władzy w rzeczywistej i pozorowanej bezsilności.

Niezależnie od odpowiedzi na pytania o te współzależności, jest rzeczą oczywistą, że ostatnie parę miesięcy zmieniło charakter rządów Donalda Tuska. Poza procesem uczenia się, presją oczekiwań opinii publicznej, warunkami stwarzanymi przez Unię Europejską, doszedł jeden zasadniczy czynnik, który podważył dotychczasowe komfortowe warunki rządzenia w sytuacji wysokiej stopy wzrostu i systematycznej poprawy warunków życia większości społeczeństwa. Jest nim oczywiście kryzys finansowy, a wraz z nim pojawiają się pogłębiające się problemy gospodarcze w skali globalnej, europejskiej i wewnątrzpolskiej. Na nic zdaje się w tych warunkach strategia przeczekań, pogodnego zarządzania codziennością.

Jak w nowych, trudnych warunkach sformułować strategię polityczną? Donald Tusk, odpowiadając niedawno na pytania Agnieszki Kublik i Moniki Olejnik, nie mówi już o dokonaniach i planach, lecz powrócił

w istocie do problemu prawomocności rządów Platformy Obywatelskiej jako anty-PiS-u oraz do możliwości, jakimi PO będzie dysponować po odsunięciu od władzy obecnego prezydenta: „Uważam – mówił – że jeśli będziemy zachowywali się odpowiedzialnie i wiarygodnie, to właśnie dlatego, że sytuacja jest trudna, mamy szansę utrzymać zaufanie Polaków. Wejdźcie w skórę zwykłego obywatela – czy na czas rozchwianej sytuacji finansowej na świecie chciałby mieć u władzy rząd Kaczyński – Lepper – Giertych, czy rząd Platformy i PSL? Uważam, że każdy, kto o tym pomyśli, to właśnie nam powierzy odpowiedzialność za przeprowadzenie Polski przez ten trudny czas. A po wyborach to, co jest blokowane przez PiS i prezydenta, odblokujemy”¹². Nie ma tu mobilizowania nadziei w stylu Chateaubrianda czy dzisiaj Baracka Obamy, ale Donald Tusk nie postępuje także językiem *spin doctorów*. Brak tu traktowania ludzi jak dzieci. Jesteśmy w czasach skromnego realizmu. Być może w obecnych warunkach niczego lepszego nie możemy oczekiwać.

¹² *Po wyborach odblokujemy Polskę* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają Agnieszka Kublik i Monika Olejnik], „Gazeta Wyborcza”, 08–09.11.2008.

Noty biograficzne

Marek Beylin (ur. 1957) – publicysta, redaktor „Gazety Wyborczej”. Działacz opozycji demokratycznej. Redaktor kwartalnika „Krytyka”. Od 1997 roku felietonista „Gazety Wyborczej”. W latach 2002–2003 szef działu kultury, a następnie szef działu opinii i kierownik „Gazety Świątecznej”. Od 2008 roku redaguje „Gazetę Świąteczną”. Wydał *Dziennik kampanii wyborczej. Kłapa '95* (Warszawa 1995).

Michał Boni (ur. 1954) – socjolog kultury, specjalista od zarządzania zasobami ludzkimi, dr. Sekretarz stanu, szef Zespołu Doradców Strategicznych Donalda Tuska. Działacz „Solidarności”. W latach 1989–1990 przewodniczący Zarządu Regionu „Mazowsze”. W 1991 roku minister pracy i polityki społecznej. W latach 1992–1993 sekretarz stanu w tym ministerstwie odpowiedzialny m.in. za politykę rynku pracy. W latach 1991–1993 poseł na Sejm RP. W latach 1996–1997 dyrektor Instytutu Spraw Publicznych. Od 1998 do 2001 roku szef zespołu doradców ministra pracy i polityki społecznej. W latach 1994–2007 konsultant Enterprise Investors.

Marek Borowski (ur. 1946) – polityk. Poseł na Sejm RP. Przewodniczący Rady Politycznej Socjaldemokracji Polskiej. Absolwent Wydziału Handlu Zagranicznego. W 1990 roku współzałożyciel i do 1999 roku członek Socjaldemokracji RP. W latach 1999–2004 członek Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W 2004 roku współzałożyciel Socjaldemokracji Polskiej i w latach 2004–2008 jej przewodniczący. W latach 1989–1991 wiceminister rynku wewnętrznego. Od 1993 do 1994 roku wicepremier i minister finansów. Od 1995 do 1996 roku szef Urzędu

Rady Ministrów. W latach 1991–2005 i od 2007 roku poseł na Sejm RP. W latach 1996–2001 wicemarszałek. Od 2001 do 2004 roku marszałek Sejmu RP.

Janusz Czapiński (ur. 1951) – psycholog społeczny, dr hab. Profesor na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Prorektor Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie. Zajmuje się m.in. badaniami opinii publicznej, badaniami rynkowymi, postawami politycznymi oraz adaptacją jednostek w sytuacji przemian ustrojowych i ekonomicznych. Kieruje badaniami „Diagnoza Społeczna”. Członek redakcji „Polish Psychological Bulletin”. Wydał m.in.: *Wartościowanie – zjawisko inklinacji pozytywnej. O naturze optymizmu* (Wrocław 1985), *Wartościowanie – efekt negatywności. O naturze realizmu* (Wrocław 1988), *Psychologia szczęścia. Przegląd badań i zarys teorii cebulowej* (Poznań 1992, II wydanie – Warszawa 1994).

Wojciech Duda – redaktor naczelny „Przeglądu Politycznego”. Główny doradca prezesa Rady Ministrów. Wydał *Był sobie Gdańsk 1945* (z Donaldem Tuskiem, Grzegorzem Fortuną i Zbigniewem Gachem, Gdańsk 1998).

Jarosław Flis (ur. 1967) – socjolog, dr. Wykładowca na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Komentator polityczny TVP i TVN. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Publikował w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Gazecie Wyborczej”, „Polska. The Times” i „Rzeczpospolitej”.

Witold Gadomski (ur. 1953) – dziennikarz, ekonomista. Publicysta „Gazety Wyborczej”. Jeden z założycieli Kongresu Liberalno-Demokratycznego. W latach 1991–1993 poseł na Sejm RP. W latach 80. współpracował z pismami opozycyjnymi. Publikował m.in. w „Cash”, „Gazecie Bankowej” oraz „Nowej Europie”. Laureat Nagrody Kisiela za 2000 rok. Wydał m.in. monografię Leszka Balcerowicza (Warszawa 2006).

Dariusz Gawin (ur. 1964) – historyk idei, filozof, dr. Absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1989–1993 asystent w Instytucie Historii UW. Od 1993 roku pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, obecnie kierownik Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego IFiS PAN. Od 2005 roku zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. Członek kolegium redakcyjnego „Teologii Politycznej”. Publikował m.in. w „Przeglądzie Politycznym”, „Res Publice Nowej”, „Teologii Politycznej”, „Znaku”. Wydał m.in.: *Spór*

o Powstanie. *Powstanie Warszawskie w powojennej publicystyce polskiej 1945–1981* (red., Warszawa 2004), *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku* (Kraków 2005), *Blask i gorzyc wolności. Eseje o polskim doświadczeniu wolności* (Kraków 2006), *Granice demokracji liberalnej. Szkice z filozofii politycznej i historii idei* (Kraków 2007).

Agnieszka Graff (ur. 1970) – anglistka, tłumaczka i publicystka, dr. Pracownik Ośrodka Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktorka pisma „The Americanist”. Wydała m.in.: *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym* (Warszawa 2001), *Rykoszetem. Rzecz o ptci, seksualności i narodzie* (Warszawa 2008). Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Krytyce Politycznej”, „Kulturze i Społeczeństwie”, „Res Publice Nowej” i „Rzeczpospolitej”.

Jacek Kochanowicz (ur. 1946) – historyk gospodarczy, dr hab. Profesor na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz na Wydziale Historii Central European University w Budapeszcie. Członek zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Tłumaczył m.in. Johna Richarda Hicksa, Alberta O. Hirschmana, Paula Anthony’ego Samuelsona. Wydał m.in.: *Pańszczyźniane gospodarstwo chłopskie w Królestwie Polskim w I połowie XIX w.* (Warszawa 1981), *Spór o teorię gospodarki chłopskiej. Gospodarstwo chłopskie w teorii ekonomii i w historii gospodarczej* (Warszawa 1992), *Backwardness and Modernization. Poland and Eastern Europe in the 16th–20th Centuries* (Burlington 2006).

Leszek Koczanowicz (ur. 1954) – filozof, prof. dr hab. Kierownik Katedry Kulturoznawstwa w Dolnośląskiej Szkole Wyższej we Wrocławiu. W latach 1977–1997 pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego, w latach 1997–2002 Uniwersytetu Opolskiego. W latach 1998–1999 oraz 2000–2001 wykładał na Uniwersytecie w Buffalo, a w latach 2004–2005 w Columbia University. Wydał m.in.: *Jednostka – działanie – społeczeństwo. Koncepcje jaźni w filozofii amerykańskiego pragmatyzmu* (Warszawa 1994), *Wspólnota i emancypacje. Spór o społeczeństwo post-konwencjonalne* (Wrocław 2005) oraz *Politics of Time. Dynamics of Identity in Post-Communist Poland* (Oxford – New York 2008).

Waldemar Kuczyński (ur. 1939) – ekonomista i publicysta. Represjonowany po Marcu 1968 roku. W latach 70. publicysta „Biuletynu Informacyjnego” i „Robotnika”. Wykładowca Łatającego Uniwersytetu. W sierpniu 1980 roku członek Komisji Ekspertów MKS-Gdańsk. W roku 1981 zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”. Internowany 13 grudnia 1981 roku. W latach

1982–1989 na emigracji. Publicysta „Aneksu” i „Kultury”, komentator Radia Wolna Europa. W lata 1989–1990 szef Zespołu Doradców Tadeusza Mazowieckiego. W 1990 minister przekształceń własnościowych. Członek Unii Demokratycznej i Unii Wolności. W latach 1999–2001 główny doradca ekonomiczny Jerzego Buzka. Inicjator i redaktor naczelny książki *Dziesięciolecie Polski Niepodległej 1989–1999* (Warszawa 2001). Wydał m.in.: *Po wielkim skoku* (Warszawa 1979, II wydanie – 1981), *Zwierzenia zausznika* (Warszawa 1992), *Agonia systemu. Szkice z niedawnej przeszłości* (Warszawa 1996), *Burza nad Wisłą. Dziennik 1980–1981* (Warszawa 2002).

Stanisław Obirek (ur. 1956) – teolog, historyk, publicysta, dr hab. Profesor na Wydziale Stosunków Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1994–1998 rektor Kolegium Księża Jezuitów w Krakowie. Następnie kierownik Katedry Historii i Filozofii Kultury oraz dyrektor Centrum Kultury i Dialogu przy Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” oraz prorektor uczelni. Zajmuje się miejscem religii we współczesnej kulturze, dialogiem międzyreligijnym oraz możliwościami przewyższenia konfliktów cywilizacyjnych i kulturowych. Wydał m.in.: *Wizja Kościoła i państwa w kazaniach ks. Piotra Skargi SJ* (Kraków 1994), *Jezuici w Rzeczypospolitej Obojga Narodów w latach 1564–1668* (Kraków 1996), *Przed Bogiem* (z Andrzejem Brzezieckim i Jarosławem Makowskim, Warszawa 2005), *Religia – schronienie czy więzienie?* (Łomża 2006).

Sławomir Sierakowski (ur. 1979) – socjolog, publicysta, założyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Krytyka Polityczna”. Prezes Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego. Inicjator listu otwartego do europejskiej opinii publicznej *Chcemy innej Europy*. Publikuje m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Rzeczypospolitej”.

Krystyna Skarżyńska – psycholog, prof. dr hab. Kieruje Pracownią Psychologii Politycznej Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk. Wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Prowadzi badania nad postawami i zachowania politycznymi oraz nad kapitałem społecznym w Polsce. Wydała m.in.: *Spostrzeżanie ludzi* (Warszawa 1981), *Psychospołeczne aspekty decyzji alokacyjnych* (Wrocław 1985), *Konformizm i samokierowanie jako wartości* (Warszawa 1991), *Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej* (Warszawa 2005), *Understanding Social Change. Political Psychology in Poland* (red. z Agnieszką Golec de Zavala, New York 2006).

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). W latach 1971–1989 na emigracji politycznej we Włoszech, Wielkiej Brytanii i we Francji. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego, a w latach 1992–1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Do 2005 roku członek Unii Wolności. Opublikował m.in.: *Le rôle des groupes d'opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie* (red. z Peterem Kende, 1989), *La Grande Secousse. L'Europe de l'Est 1989–1990* (red. z Peterem Kende, 1991), *Globalization, Power and Democracy* (red. z Markiem Plattnerem, 2000), *De Kant a Kosovo* (red. z Anne-Marie Le Gloannec, 2003).

Antoni Sułek (ur. 1945) – socjolog, prof. dr hab. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładowca w Instytucie Socjologii UW. W latach 1994–1998 przewodniczący Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Od 1999 do 2001 roku główny doradca ds. spraw społecznych Jerzego Buzka. W latach 2002–2005 dyrektor Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wydał m.in.: *Eksperyment w badaniach społecznych* (Warszawa 1979), *Logika analizy socjologicznej. Wybór tekstów* (Warszawa 1979), *W terenie, w archiwum i w laboratorium. Studia nad warsztatem socjologa* (Warszawa 1990), *Sondaż polski. Przygarść rozpraw o badaniach ankietowych* (Warszawa 2001), *Ogród metodologii socjologicznej* (Warszawa 2002), *Socjologia w Uniwersytecie Warszawskim. Fragmenty historii* (Warszawa 2007).

Tadeusz Szawiel (ur. 1950) – socjolog, dr, pracownik Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się teorią demokracji, społeczeństwa obywatelskiego, podziałów politycznych, przemianami wartości i filozoficznymi podstawami nauk społecznych. Od 1995 roku prezes Instytutu Badań nad Podstawami Demokracji. W latach 2006–2008 członek Rady Fundacji CBOS. Od 1997 roku członek redakcji „Civitas. Studia z filozofii polityki”. Wydał m.in.: *Religijność społeczeństwa polskiego lat 80. Od pytań filozoficznych do problemów empirycznych* (red. z Mirosławą Grabowską, Warszawa 1989, II wydanie – 2005), *Anatomia elit politycznych* (red. z Mirosławą Grabowską, Warszawa 1993), *Korzenie demokracji. Partie polityczne w środowisku lokalnym* (red. z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2000), *Budowanie demokracji* (z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2001), *Budowanie demokracji. Podziały społeczne, partie polityczne*

i społeczeństwo obywatelskie w postkomunistycznej Polsce (z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2003) *Pokolenie JP II. Przeszłość i przyszłość zjawiska religijnego* (red., Warszawa 2008).

Andrzej Waśkiewicz (ur. 1963) – historyk, socjolog, dr, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Współautor licealnych podręczników do wiedzy o społeczeństwie. Publikuje m.in. na łamach „Przeglądu Politycznego”. Wydał: *Interpretacja teorii politycznej. Spór o metodę we współczesnej literaturze anglosaskiej* (Warszawa 1998), *Polityka dla dorosłych* (2006) oraz *Obcy z wyboru. Studium filozofii społecznej* (Warszawa 2008). Przełożył książkę Bernarda Cricka *W obronie polityki* (Warszawa 2004).

Piotr Winczorek (ur. 1943) – prawnik, prof. dr hab. Wykładowca na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1989 roku pełnił funkcje wicedyrektora i dyrektora Instytutu Nauk o Państwie i Prawie UW oraz kierownika Katedry Filozofii Prawa i Nauki o Państwie. W latach 1989–1993 sędzia Trybunału Stanu; w latach 1994–1998 członek Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów; w latach 1993–1997 członek, a następnie przewodniczący Zespołu Stałych Ekspertów Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Publicysta „Rzeczpospolitej”. Autor podręczników prawa. Wydał m.in.: *Prawo i polityka w czasach przemian* (Warszawa 1995), *Dyskusje konstytucyjne* (Warszawa 1996), *Komentarz do Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r.* (Warszawa 2000), *Prawo konstytucyjne Rzeczypospolitej Polskiej. Podręcznik dla studentów studiów nieprawniczych* (Warszawa 2003), *Teoria i praktyka wykładni prawa* (red., Warszawa 2005), *Polska pod rządami Konstytucji z 1997 roku* (Warszawa 2006).

Irena Wóycicka (ur. 1950) – ekonomistka, polityk społeczny. Kierownik obszaru badań społecznych Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Specjalizuje się w problematyce kosztów, finansowania i skuteczności zabezpieczenia społecznego oraz prognoz wydatków socjalnych. W latach 1991–1993 wiceminister pracy i polityki socjalnej, a w latach 1998–2001 doradca wicepremiera i ministra pracy oraz członek Rady Nadzorczej ZUS. Ekspert Międzynarodowej Organizacji Pracy. Autorka wielu prac z dziedziny polityki społecznej. Wydała m.in.: *Wydatki socjalne w latach 2000–2020* (red., Warszawa 2003), *Aktywność zawodowa i edukacyjna a obowiązki rodzinne w Polsce w świetle badań empirycznych* (red. z Ireną E. Kotowską i Urszula Sztanderską, Warszawa 2007).

Jacek Żakowski (ur. 1957) – dziennikarz. Publicysta „Polityki”. Kierownik Katedry Dziennikarstwa w Collegium Civitas. W latach 1989–1990 rzecznik prasowy Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W latach 1991–1992 prezes Polskiej Agencji Informacyjnej. W latach 1992–1993 kierował działem publicystyki „Życia Warszawy”. W latach 1993–2002 dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Twórca programów telewizyjnych w TVP, m.in. *Tok-Szok* (z Piotrem Najsztabem), *Tischner czyta katechizm*, *Autograf*, oraz programów radiowych, m.in. *Tok-tok* (I PR) i *Rozmowy podsluchiwane* (RMF). Wydał m.in.: *Anatomia smaku czyli o losach „Tygodnika Powszechnego” 1953–1956* (Lublin 1986, II wydanie – Warszawa 1988), *Między panem a plebanem* (z Adamem Michnikiem i Józefem Tischnerem, Kraków 1995), *Siedmiolatka czyli Kto ukradł Polskę?* (z Jackiem Kuroniem, Wrocław 1997), *Pół wieku pod włos czyli życie codzienne „Tygodnika Powszechnego” w czasach heroicznych* (Kraków 1999), *Mroczne wnętrza. Uwięziony Prymas prywatnie w oczach współwięźniów i swojej siostry* (Warszawa 2000), *Rewanż pamięci* (Warszawa 2002), *Anty-TINA. Rozmowy o lepszym świecie, myśleniu i życiu* (Warszawa 2005), *Koniec. Rozmowy o tym, co się popsło w nas w Polsce, w Europie i w świecie* (Warszawa 2006), *Nauczka* (Warszawa 2007).

Indeks nazwisk

Abramowski Edward 16

Baczyński Jerzy 78

Balcerowicz Leszek 94

Belka Marek 85

Beylin Marek 44, 93

Bielan Adam 81

Bielecki Jan Krzysztof 44, 84

Blair Tony (właśc. Anthony Charles Lynton Blair) 36

Bogucka Teresa 85

Boni Michał 13, 33, 36, 50, 63, 68, 70–71, 72, 86, 93

Borowski Marek 52, 58, 66, 68, 93

Brzeziecki Andrzej 96

Bush George Walker, prezydent 60

Bush George, prezydent 76

Buzek Jerzy 49, 84, 96, 97

Chateaubriand François-René de 75–76, 91

Cichomski Bogdan 31

Cimoszewicz Włodzimierz 85

Crick Bernard 98

Czapiński Janusz 37, 46, 64, 94

Czech Mirosław 59

Dostojewski Fiodor 23

Drucker Peter 56

Drzewiecki Mirosław 14

Duda Wojciech 61, 68, 94

Dutkiewicz Rafał 14

Fedak Jolanta 55

Flis Jarosław 56, 94

Fortuna Grzegorz 94

Gabryel Piotr 86

Gach Zbigniew 94

Gadomski Witold 49, 94

Gardawski Juliusz 68

Gawin Dariusz 33, 44, 49, 68, 94

Gierek Adam 22

Giertych Roman 78, 83, 91

Gilowska Zyta 35–36

Golec de Zavala Agnieszka 96

Gomułka Stanisław 14, 36, 54

Gowin Jarosław 12, 41

Grabowska Mirosława 97–98

Graff Agnieszka 57, 95

Grzelak Janusz 68

Hadrian (Publiusz Eliusz Hadrian), cesarz 51
 Hall Katarzyna 36
 Hausner Jerzy 68
 Hegel Georg Wilhelm Friedrich 19
 Hicks John Richard 95
 Hirschman Albert O. 95

 Kaczyński Jarostaw 20, 22, 29, 35, 46, 53, 55, 56, 57, 76, 78, 81–82, 83–84, 85, 90, 91
 Kaczyński Lech, prezydent 22, 46, 48, 65, 76, 79, 81–82, 83–84, 88–90
 Kamiński Mariusz 78
 Kamiński Michał 81
 Karol X, król 75
 Kende Peter 97
 Kirsch Guy 42
 Kochanowicz Jacek 95
 Koczanowicz Leszek 34, 95
 Kołakowski Leszek 62
 Komotowski Longin 68
 Konrad György 25
 Kotarbiński Tadeusz 30
 Kotowska Irena E. 98
 Kozak Wiesława 31
 Krasowski Robert 26, 81
 Kublik Agnieszka 90–91
 Kuczyński Waldemar 33, 44, 68, 95
 Kudrycka Barbara 36
 Kuroń Jacek 99
 Kurski Jacek 81
 Kwaśniewski Aleksander, prezydent 19, 82

 Lacan Jacques 23
 Le Gloanec Anne-Marie 97

 Lepper Andrzej 78, 82, 83, 91
 Lis Tomasz 15, 82
 Lisicki Paweł 86

 Macksheidt Klaus 42
 Makowski Jarostaw 96
 Marcinkiewicz Kazimierz 77
 Matyja Rafał 12
 Mazowiecki Tadeusz 37, 39, 44, 49, 84, 96, 97
 McLuhan Marshall 15
 Michalski Cezary 26, 76
 Michnik Adam 21, 99
 Mieszko I, 49
 Miller Leszek 85
 Mistewicz Eryk 82
 Morawski Witold 31
 Morozowski Andrzej 15
 Murawski Paweł 31
 Musil Robert 77

 Najsztab Piotr 99
 Napieralski Grzegorz 56, 89
 Napoleon Bonaparte, cesarz 19
 Niesiołowski Stefan 83
 Nietzsche Fryderyk (Friedrich Wilhelm Nietzsche) 23
 Nowak Jerzy Robert 59
 Nowak Sławomir 83

 Oakeshott Michael 69
 Obama Barack 60, 91
 Obirek Stanisław 60, 96
 Olejniczak Wojciech 56
 Olejnik Monika 90–91
 Oleksy Józef 85
 Olewnik Krzysztof 12, 49

Pacewicz Piotr 80
 Paetz Juliusz, abp 59
 Palikot Janusz 41, 83
 Paradowska Janina 78
 Pawlak Waldemar 85
 Piłsudski Józef 11
 Pitera Julia 78
 Plata Tomasz 77
 Plattner Mark 97

 Reich Robert B. 16
 Rokita Jan 12, 35–36, 50, 52–53, 88
 Rostowski Jacek (właśc. Jan Vincent-
 -Rostowski) 36, 50
 Rydzyk Tadeusz, ks. 60
 Rywin Lew 21, 71

 Safjan Marek 68
 Samuelson Paul Anthony 95
 Sarkozy Nicolas 72
 Saryusz-Wolski Jacek 12
 Schetyna Grzegorz 36
 Seguel Jacques 82
 Sekielski Tomasz 15
 Sierakowski Sławomir 44, 96
 Skarga Piotr SJ, ks. 96
 Skarżyńska Krystyna 40, 96
 Sloterdijk Peter 25-26
 Smolar Aleksander 62, 97
 Stanosz Barbara 60
 Suchocka Hanna 84, 97
 Sutek Antoni 29, 34, 37, 43, 98

 Szawiel Tadeusz 30, 38, 97
 Sztanderska Urszula 98

 Śpiewak Paweł 12

 Tarkowska Elżbieta 32
 Terlikowski Tomasz 59
 Thatcher Margaret 61
 Tischner Józef, ks. 99
 Trajan (Marek Ulpiusz Trajan), cesarz
 51
 Tusk Donald 7–19, 12–17, 20, 21, 25–27,
 29–37, 39–44, 45–46, 48, 49–58,
 60–62, 64–65, 67–68, 72–73, 75-
 91, 93
 Tymochowicz Piotr 82

 Villèle de Jean-Baptiste-Guillaume-
 -Joseph 75

 Waszkielewicz Bernadeta 86
 Waśkiewicz Andrzej 5, 98
 Wielgus Stanisław, abp 59
 Winczorek Piotr 47, 98
 Wojciechowski Stanisław 11
 Wóycicka Irena 42, 98

 Zaremba Piotr 75

 Žižek Slavoj 23–24

 Żakowski Jacek 13, 35, 65, 73, 99

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

Pamięć i polityka zagraniczna (2006); publikacja poświęcona znaczeniu historii w stosunkach Polski z jej sąsiadami: Niemcami, Rosją i Ukrainą. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Klauza Bachmanna, Władysława Bartoszewskiego, Bogumiły Berdychowskiej, Marka Borowskiego, Bronisława Geremka, Marka Jurka, Zdzisława Krasnodębskiego, Andrzeja de Lazari, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Rokity, Adama Daniela Rotfelda, Aleksandra Smolara, Donalda Tuska, Kazimierza Michała Ujazdowskiego i Anny Wolff-Powęskiej.

Jaka Polska? Czyja Polska? Diagnozy i dyskusje (2006); publikacja poświęcona zmianom politycznym, jakie zaszły w 2005 roku – poczynając od kampanii wyborczej, po powstanie pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości – oraz pierwszemu okresowi – najpierw samodzielnych, a potem koalicyjnych – rządów PiS-u. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Henryka Domańskiego, Dariusza Gawina, Mirosławy Grabowskiej, Jerzego Hausnera, Antoniego Kamińskiego, Jacka Kochanowicza, Zdzisława Krasnodębskiego, Jacka Kurczewskiego, Ryszarda Legutki, Janusza Lewandowskiego, Bronisława Łagowskiego, Mirosławy Marody, Karola Modzelewskiego, Janusza Reykowskiego, Jacka Rostowskiego, Andrzeja Rycharda, Aleksandra Smolara, Sławomira Sierakowskiego, Jerzego Szackiego, Piotra Winczorka, Artura Wołka i Jacka Żakowskiego.

Pamięć jako przedmiot władzy (2008); publikacja poświęcona relacjom pamięci i władzy w ostatnich latach w Polsce. Podejmuje problemy polityki historycznej, zakresu ingerencji władzy państwowej w sferę pamięci, roli pamięci historycznej w tworzeniu tożsamości narodowej, a także jej znaczenia w naszych dzisiejszych relacjach z sąsiadami, przede wszystkim z Niemcami i Rosją. W tomie znalazły się wystąpienia Marka A. Cichockiego, Macieja Janowskiego, Zdzisława Krasnodębskiego, Marcina Króla i Joanny Tokarskiej-Bakir oraz obszernie fragmenty dyskusji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego.